


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

POEZJE – WYBÓR

SERIA PIERWSZA 1891

W JESIENI

O cicha, mglista, o smutna jesieni!
Już w duszę czar twój dziwny, senny spływa,
przychodzą chmary zapomnianych cieni,
tęsknota wiedzie je smutna i tkliwa,
ileż miłości, och, ileż kochania
umarła przeszłość z naszych serc pochłania,
z naszych serc biednych, z naszych serc bezdeni...

Zamykam oczy... Błede ciche cienie
suną się w liści posepnym szeleście -
jak obłok światło: niesie je wspomnienie...
O dni umarłe! o dni! gdzież jesteście?...
co pozostało po was?... Ach! daleko,
daleko kędyś toczycie się rzeką
szarą i mętną w głąb puszczy i w milczenie...

ZASNAĆ JUŻ!...

Zasnąć już!.... Noc ta pochmurna, bezgwiezdna,
posepnych widzeń krynicą jest bez dna -
zasnąć już, skłonić na nirwany łono
głowę płonąca, bez miary zmęczoną...

Przepłynął przez nią strumień myśli długi,
a jedna była smutniejszą od drugiej,
a wszystkie były smutne bezlitośnie - -
chcę spać, choć wiem, że ciągu myśli dośnie...

Ha!... Tłum okropny mar ciśnie się białych,
w szatach zwałanych ziemią i zbutwiałych,
tańczą wokoło z szalonym pośpiechem,
szyderyczym w twarz mi wybuchając śmiechem

Widok ich trupich czaszek mię przeraża,
dusi mię zgniła, wstrętne woń cmentarza,
a ten śmiech strasznej ironii się wwierca,
jak tępa śruba, w głąb mojego serca.

Tłoczą się ku mnie ohydą gromadą,
trupie swe ręce na czoło mi kładą
i spróchniałymi szczękami klekocą
najokropniejsze z wszystkich pytań: Po co!?!...

DO SNU

Nie mam dosyć odwagi, aby przed złem życia
w śmierci szukać zbawienia
i wiecznego ukrycia,
ani wiem, czy śmierć kresem ludzkiego istnienia
jest wiecznym?... Ani wiem, czy zło w tej zaziemnej
bezwiednie przeczuwanej przestrzeni tajemnej
nie władnie? Lecz strudzony walką bezowocną

z siłą losu przemocną,
ciebie wołam, śnie cichy... O! gdybyś przez wieki
nie schodził z mej powieki...
Śnie! Ileż razy westchnę do ciebie, gdy jasna
okrutna prawda mózg mój i serce rozdziera...
Jeszcze godzina jedna, dwie - - a potem zasnę
i cichość mnie śmiertelna
kołysze na swym łonie... Duch we mnie umiera,
i jestem, jak trup żywy, bez czucia, bez myśli,
więc złemu niedostępny... Ty mi słodycz zesłej,
śnie - - chcę choć wizji szczęścia. O! gdybyś przez wieki
nie schodził z mej powieki...

A choćbym dziś zasnąwszy, zamiast spodziewanej
ulgi, miał śpiący stać się łupem widm cierpienia
lub choćby się jątrzyły w nocy owe rany,
zdobyte w walce dziennej,
których ja zapomnienia
szukam w martwości sennej:
jeszcze do cię zawołam, śnie, obyś przez wieki
nie schodził z mej powieki...

JAK DZIWNIE SMUTNE, POSEPNIE, ZŁOWIESZCZE...

Jak dziwnie smutne, posepne, złowieszcze
jest to zegaru miarowe stąpanie -
słucham i zimne przejmują mię dreszcze...
Coraz mniej życia, niebytu otchłanie
coraz mi bliższe, śmierci przeraźliwe,

groźne widziadło ciśnie mi się w oczy - -
straszno pomyśleć, że ciało, dziś żywe,
niedługo w trumnie robactwo roztoczy.
Okropna wizja!... Naokoło wszyscy
sercu mojemu, duszy mojej bliscy,
w mogiłach swoich tak mi jasno widni,
leżą tam, tacy wstrętni i ohydni!...
Życie podąża do przekłętej mety -
Jak gardzę życiem! W twarz śmierci złowrogą
patrzac, szkieletom zazdrozczę - - szkielety
przynajmniej snić już o śmierci nie mogą.

SCHNAĆCA LIMBA

U stóp mych dzika przepaść. W ciemnym niebie blady
świeci księżyc, podobny wodnej białej lilii,
co kielich swój nad ciemne głębiny wychyli.
Cicho - grzmot słycać tylko huczającej kaskady.

Nad nurtem jej ze skalnej wyrosła posady
limba: zżółkło konary smutno na dół chyli,
czując, że dłużej walczyć na próżno się sili
i runie - wicher szumi jej hymny zagłady.

Nie ona jedna toczy tę walkę bolesną:
są ludzie i narody całe na przedwczesną
śmierć skazane, przez losów okrutne przekleństwo - -

i czyż warto jest walczyć nie wierząc w zwycięstwo?

I czyż warci są życia, którym brak doń siły?

I cóż z tych łez wylanych na słabych mogiły?...

NIEWIERNY

Przychodzą na mnie godziny zwątpienia,
gdy tracę wiarę w Twoją dobroć, Panie,
w Twe miłosierdzie, w Twoje miłowanie,
w wolę zbawienia,
a nawet w Twoją istność i władanie.

Naówczas pragnę, abyś w błyskawicach
na niebo wstąpił i w płomieniach cały,
Pan pełen mocy i Bóg pełen chwały,
choćby w źrenicach
Twoich złowróżbne dla mnie skry gorzały:

choćbyś mnie stracić miał karzącą ręką
z powierzchni ziemi gdzieś w czarne bezdenie
na beznadziejne wieczyste cierpienie;
albowiem męką
najokropniejszą z wszystkich jest wątpienie.

Gdy Ty mi konasz, dusza we mnie kona,
noc się ogromna, wieczna rozpościera;
myślom się otchłań i przepaść otwiera,
nieprzenikniona - -
i dusza kona, i serce umiera.

Zjaw się, o! zjaw się na wysokim niebie
na wozie wichrów, na ognia rydwanie,
zjaw się, jak słońca blask na oceanie,
daj ludziom Siebie!
Zjaw się na niebie, o Boże... O Pani!...

KONAJ, ME SERCE...

Konaj, me serce - - po co żyć ci dalej?
Żadne z twych pragnień nigdy się nie iści - -
wrze j, aż cię ogień wewnętrzny przepali,
i uschnij, na kształt oderwanych liści.

Milcz i umieraj. Ileżeś to razy
zadrgało próżno; klątwy ileżkrotne
na twe szalone rzucałeś ekstazy,
i znów milczało - - dumne i samotne.

Ale tej nocy posepnej i sennej
nie zdołasz milczeć, szal buntu cię zrywa,
z milczenia twego powstajesz Gehenny,
na ustach twoich drga klątwa straszliwa...

Gdyby ta klątwa zmieniła się w gromy,
skały się skruszą i spłomieni morze,
zadrży sklep niebios wiecznie nieruchomy,
gwiazdy zeń runą w przepaść...

W OLIWNYM GAJU...

W oliwnym gaju, gdzie pachną jaśminy,
perłowe lilie i szkarłatne róże,
nad cichym morzem barwy złotosinej
od słońca, co się paliło w lazurze,
dzieło od bogów natchnionego dłuta,
Afrodis stała z marmuru wykuta.

Naga, z uśmiechem boskim, na pół senna,
czysta, jak kiedy z wód wytrysła piany,
stała wieczyście pogodna, kamienna,
a marmur w słońcu lśnił bladoróżany...
Jej piękna w ludzkim nie wyrazić słowie,
jej pięknu sami dziwią się bogowie...

Oliwnym gajem w miedzianej zbroicy,
ku morskim brzegom grecki młodzian kroczył,
włócznie z jaworu kołysał w prawicy,
z hełmu się kity długi strumień toczył;
widna mu z oczu i z ciała postawy
odwaga, siła i dumna chęć sławy.

Na bój szedł straszny... Jako sępów stado
napada gniazdo śmiałego sokoła:
tak Pers, ogromną ruszywszy gromadą,
Peloponezu chce zagarnąć sioła -
ale napotka mężne Grecji syny,
okute tarcze, ostre rohatyny.

On naprzód z roty wystąpił orężnej,
aby zobaczyć, czy na morzu w dali
perskich okrętów nawały potężnej
nie widać pysznie płynącej po fali,
jak łabędź, co się skrzydlaty kołysze -
opodal idą jego towarzysze.

Oto po morzu, jak chmury po stropie,
śmierć przynoszące nawy Persów płyną;
tłum wielki, zbrojny i w łuki, i w kopie,
nieprzeliczony, jak gwiazdy w noc siną,
gdy miesiąc srebrny nie świeci na nowiu,
a od gwiazd rojno na niebios pustkowiu.

Lecz jako zorza krwawo powstająca
spędza ze stropu nocy złote błyski:
tak Grecja, sławą podobna do słońca,
rozproszy wroga ostrymi pociski.
Ares na walkę powiedzie ich zgubną,
da laur tryumfu lub śmierć wiecznie chlubną...

Pójdźcie, najeźdźcy! On pierwszy umoczy
w krwi waszej dziryty!... Chciałby biec przez fale!...
Wtem rozognione uderzył mu oczy
marmur, na słońcu błyszczący wspaniale...
I wszystka krew w nim płomieniem zażegła,
z żył mu się w serce stoczyła i zbiegła.

W hymnie wspaniałym czarowna przyroda
wielbiła piękność bóstwa niezrównaną,
śpiewa ją morza szafirowa woda,
śpiewa ją niebo i barwą różaną
śpiewają kwiaty... Bóstwo śnieżnołone
stoi zaklęte w marmur, uwielbione...

I Grek odrzucił swój dziryt stalony,
zerwał hełm z czoła długą zdobny kitą:
żądzą płomienną miłości palony
krzyknął, przed boską stojąc Afrodytą:
„- Za jeden uścisk twój, bogini złota,
zapłacę chwałą mojego żywota!...”

I dziw!... Ożywia się posąg kamienny,
usta rumienia, oko blaskiem pała,
łono faluje i z zadumy sennej
bogini budzi się różowobiała...
A jego bracia milczący leżeli
na piersiach wrogów i na piersi krwawej...
Bogini piękna nie wyrazić w słowie;
jej pięknu sami dziwią się bogowie.

CIEŃ CHOPINA

Na wiejskie gaje, na kwietne sady,
na pola hen,
idzie nocami cień blady,
cichy jak sen.

Słucha, jak szumią nad rzeką lasy
owite w mgły;
jak brzęczą skrzypce, jak huczą basy
z odległej wsi.

Słucha, jak szepcą drżące osiny,
malwy i bez;
i rozplakanej słucha dziewczyny,
jej skarg, jej łez.

W wodnych wiklinach, w blasku księżyca,
w północny chłód,
rusałka patrzy nań bladolica
z przepastnych wód.

Słucha jęczących dzwonów pogrzebnych
i wielkich łkań,
i rozplyniętych kędyś, podniebnych,
gwiazd błędnych drgań...

Słucha, jak serca w bólu się kruszy
i rwą bez sił - -
słucha wszystkiego, co jego duszą
było, gdy żył...

FRAGMENCIK

Wierzę, że rację najświętszą miał,
kto spalił Giordana Bruna - -
ach! dotąd jeszcze nad Rzymem się
świeci jaskrawa łuna...

Z zachwytem patrzę się w łunę tę,
a rośnie we mnie dusza,
ilekroć na myśl przychodzi mi
więzienie Galileusza...

I w zachwyceniu roztapiam się,
jakby w winnicy szampańskiej,
ilekroć razy mignie mi cień,
cień inkwizycji hiszpańskiej...

SERIA DRUGA 1894

CREDO

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
i nie zazdrozczę już tej wiary - dzieciom...
Po co się łudzić? Wydarte stuleciom
posepne, smutne, zimne doświadczenie
złudzeniom wszelkim na czole wyryło:
„Śmierć i nicstwo!”... zabiło złudzenie...
I tylko dziwna, mistyczna, szalona
chęć tą ohydną wstrząsnąć ziemi bryłą,
świat cały, jak jest, pochwycić w ramiona,
z posad go dźwignąć i na nowe koła
jaki bądź rzucić, gdy te, co go toczą,
we łzach się pławią i we krwi się broczą;
i tylko głos ten, co nas w nocce woła
z złem walczyć nie przez ufność odrodzenia,
lecz przez nienawiść ku złemu dla złego
i żądzę, ssaną z powietrzem, niszczenia:
jest naszą wiarą. A choć czasem ona
omdlewa w piersiach, to wnet zmartwychwstawa,
jako z popiołów Feniks, odrodzona,
i jak kometa błyska ludziom krwawa,
której płomienie może świat zażegnąć.
My nienawidzimy zła dzisiejszej doby - -
jutro?... To jutro?... Jutro, marzyciele,
przeklinać własne swe będziecie próby,

nowe zło w nowym odkrywając dziele;
jutro, trawieni nowymi choroby,
szukać będziecie nowego systemu
leków i zbawień, a nie mogąc męce
ulżyć, bezsilni załamiecie ręce,
bo póki ludziom trwać, poty trwać złemu.
Lecz naprzód, naprzód! Niechaj zbrodnie stare
ustąpią nowym - nim się te przeżyją - -
ścigajcie marzeń cudną, a czczą marę,
jak ci ścigali, co dziś w grobach gniją.
Lecz naprzód, naprzód! Łudźcie się, Ikary,
że potraficie dolecieć do słońca,
w zdobyte niebo wstąpić z człowieczeństwem,
a potem - widzicie, że próżne ofiary,
że pomoc złego jest wiecznotrwająca,
zwątpcie, zrozpaczcie i gińcie z przekleństwem!
Bo niczym innym nie jest chód ludzkości,
tylko przemianą zła wieczyście trwałą;
o Chrystusowej marząc wszechmiłości
deptajcie wroga, co was przedtem deptał,
drżąc, że już rośnie mściciel z jego kości,
co was obali, jak kłodę zbutwiałą,
i znów was zdepcze, gdy już krew wy chleptał.
Brutalna siła, która rządzi światem,
wybawicielem nie jest ani katem:
ślepa i głucha, zimna, obojętna,
idzie bez celu i nie władnąc, włada,
nie dba, gdzie jakie pozostawi piętna,
kto pod jej nogą powstaje, kto pada?

Nienawiść dźwignią jest świata - - niech działa
ta najsilniejsza potęga ludzkości:
jeśli potrafi i dusze, i ciała
na wskroś przekształcić, zabić w ludziach zwierzę:
wówczas dopiero w królestwo miłości
ewangelicznej na ziemi - uwierzę.

KTÓŻ NAM POWRÓCI...

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiosnie życia nieba?..
Wołają na nas, że w złą idziem stronę,
precz o świat troskę rzucając powinna,
a czy pytają się nas, co nam trzeba
i czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
niepodległego straszne są katusze,
gdy zerwać swego nie może łańcucha?

Spójrzcie nam w mózgi - - zgryzły je, strawiły
wrodzone ludziom daremne pragnienia.
Wołacie na nas: „Jesteśmy bez siły,
dajcie nam słowa wiary i otuchy” - -
a nam któż daje słowa pocieszenia?
A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiosnie życia nieba?...
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
żądacie od nas zbawień i pomocy,
lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
jak wy, nie mamy odwagi i mocy.

KONIEC WIEKU XIX

Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy,
złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze.
Ironia?... Lecz największe z szyderstw czyż się może
równać z ironią biegu najzwyczajniejszych rzeczy?

Wzgarda... lecz tylko głupiec gardzi tym ciężarem,
którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona.
Rozpacz?... Więc za przykładem trzeba iść skorpiona,
co się zabija, kiedy otoczą go żarem?

Walka?... Ale czyż mrówka rzucona na szyny
może walczyć z pociągiem nadchodzącym w pędzie?
Rezygnacja?... Czyż przez to mniej się cierpieć będzie,
gdy się z poddaniem schyli pod nóż gilotyny?

Byt przyszły?... Gwiazd tajemnicy któż z ludzi ogląda,
kto zliczy zgasłe słońca i kres światu zgadnie?
Użycie?... Ależ w duszy jest zawsze coś na dnie.
co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda.

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy,
dla których żadna z dawnych wiar już nie wystarcza?
Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza,
człowiecze z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.

PROMETEUSZ

Ogniu, ty, co tam w ziemi wnętrznościach głęboko
wresz, huczysz i potrząsasz kamienną opoką:
ty potęgo straszliwa, wstań, rwij ziemi łono,
z rozdartych jej wnętrzności ruń lawą czerwoną,
tocz odmęty płomienne na skorupę ziemną,
i wszystko, wszystko, wszystko niech ginie wraz ze mną!

Oto do przykutego do tej twardej skały,
tam z dołu, tam z daleka płyną ludzkie jęki,
ryczące jak wezbranych oceanów wały!
Biada! Biada! .. Gdzież nie ma nieszczęścia i męki?
Kędyż nie dostało zło? Z jakiejże strony
nie wydziera się w niebo głos bólu szalony?
Biada! Biada!... Otom ja w gryzącym łańcuchu,
ja, głodny i spragniony, bez woli, bez ruchu,
z poszarpanym przez sępa bokiem i wątrobą,
trawiony najstraszniejszą ze wszystkich chorobą:
rozpaczą beznadziejną - - ja, co moim widokiem,
gwiazdy straszę na niebie świecące Wysokiem,
oja, nędzarz, od którego nawet huragany
uciekają, na Kaukaz kiedy się zapędzą;

ja, wszystkim okropnościom na pastwę wydany;
ja, jak słońce światłością, otoczony nędzą:
otom jest cierpień ludzkich wcielonym obrazem...
Biada! Biada!... O matko-rodzicielko, ziemio,
wzbudź te ognie, te żary, co w twym wnętrzu drzemią,
niech runą - - i uczynią cię wodą i głazem!...
Jak tygrys, co ukryty w nadwodnej komyszy,
czyhając na gazelę, krwią i mordem dyszy:
tak nieszczęście na ludzi czyha niestrudzenie
wiecznie, wszędzie - - przemocne tak chce Przeznaczenie.
Dziś, gdy wiem, co jest cała straszna niemoc woli,
gdy każdy atom ciała i ducha mię boli,
od wieków na tej skale cierpiący samotnie,
współczuję dziś z człowiekiem o! lepiej stokrotnie,
niżem współczuł, gdym ogień z nieba dlań wykradał -
i gdybym dziś wszechmocą Przeznaczenia władał,
ze wszystkich szczęść najwyższe rzuciłbym ludzkości,
nicestwiał ją i grzebiąc na wieki w nicości!

GENIUSZE

Bezдушna, ciemna, bezmyślna ludzkości,
czym byś ty była, gdyby nie geniusze,
co blaskiem swojej świecą ci jasności,
myśl ci swą dają i dają ci duszę?

Jak oceany tyś jest nieprzejrzane,
martwe pustkowie wodne we wszechbycie-

oni jak wyspy po wodach rozsiane,
martwym pustkowiom nadające życie.

Was ja jedynie wielbię, mocne duchy,
co ujarzmiacie miliony swą siłą,
świat okuwacie w woli swej łańcuchy
i sterujecie nędzną ziemską bryłą.

HYMN DO NIRWANY

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do ciebie,

Nirwano!

Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak i w niebie,

Nirwano!

Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utrapień srodze,

Nirwano!

I niech już więcej w jarzmie krwawiącym kark nie chodzę,

Nirwano!

Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga,

Nirwano!

Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga,

Nirwano!

Oto mię wstręt przepelnił, ohyda mię zadusza,

Nirwano!

I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza,

Nirwano!

O przyjdź i dłonie twoje połóż na me źrenice,

Nirwano!

Twym unicestwiającym oddechem pierś niech syce,

Nirwano!

Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć muszę,

Nirwano!

Od myśli i pamięci oderwij moją duszę,

Nirwano!

Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze,

Nirwano!

Człowiecze zburz przede mną bożyszcza i ołtarze,

Nirwano!

Niech żywot mię silniejszych, słabszych śmierć nie uciska,

Nirwano!

Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi nie błyska,

Nirwano!

Niech otchłań klęsk i cierpień w łonie się twym pogrzebie,

Nirwano!

I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak i w niebie,

Nirwano!

PODCZAS BURZY

Wciągam wicher jak rumak, gdy na step wybieży,

wicher od Tatr wiejący, bystry, ostry, świeży - -

zda mi się, że potargam wszystkie ziemskie sidła,

że mi u ramion rosną długie orle skrzydła

i poniosą mię w przestwór... Słońce się zachmurza,

śmignął z chmur wąż płomienny, zahuczała burza,

wodospadem deszcz lunął. W tym olbrzymim szturmie

wichru, deszczu, piorunów: duszy mej muzyka-

budzi się - głos w niej zagrział jak w wojennej surmie,
melodia ją napęnia szalona i dzika,
a skrzydła orle, co mi u ramion wyrosły,
w niszczących potęg chaos duszę mą poniosły.

EVVIVA L'ARTE!

Eviva l'arte! Człowiek zginąć musi -
cóż, kto pieniędzy nie ma, jest pariasem,
nędza porywa za gardło i dusi -
zginąć, to zginąć jak pies, a tymczasem,
choć życie nasze splunięcia niewarte:
evviva l'arte!

Eviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
nędzny filistrów naród! My, artyści,
my, którym często na chleb braknie suchy,
my, do jesiennych tak podobni liści,
i tak wykrzyknem; gdy wszystko nic warte,
evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi,
możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
ale jak orły z skrzydły złamanemi -
więc naprzód! Cóż jest prócz sławy co warte?
evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
ognie przez Boga samego włożone:
więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
laurów za złotą nie damy koronę,
i chociaż życie nasze nic niewarte:
evviva l'arte!

HYMN DO MIŁOŚCI

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie,
miłości!

Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
prócz samej żądz życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest,
miłości!

Jeśli największym szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia;
toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładziesz kres upajający,
miłości!

Jeśli złudzenia są jedynym dobrem,
toś ty największym dobrem, najsilniejsze
ze wszystkich złudzeń ty, moc mocy,
pierwotna, dzika, nie znająca kielżań,
święta potęgo,
miłości!

Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni

od upadnięcia w przepaść rozpacz i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
jeśli jedynym są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości!

Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dziś czczone, jutro deptane,
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczym i nigdy, tak jak one,
pierwotna, dzika potęgo
miłości!

Wdzięku, piękności natury,
kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?

Kędyś, szafirze niebios, morza błękitnie,
wobec ócz ukochanej?
Kędyś, szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano,
wobec głosu ukochanej?
Kędyś, ciszo grot pośród paproci
pod gęstymi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest, śniegu, różowiony blado
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście, linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcyzy, palmy wybujale,
kędy obłoki lotne i powiewne
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś, mchu miękkiego, liściu aksamitnego,
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś, marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest, czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
zza gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawią
pośród skał senne,

i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali:
wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest, melancholio wieczorów jesiennych,
wobec jej smutku?
Kędyś, wesele letniego południa,
przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
o nieznoszeniu niesprawiedliwości:
wobec snów o ukochanej?
Kędyś, pragnienie posiadania złota,
przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest, żądzo poznania wszystkiego,
co jest poznanym albo nim być może,
wobec pragnienia poznania wskroś duszy
ukochanej kobiety?
Tak, tyś największą z sił, tyś życiem życia,
miłości!
Najsłodsza rozkosz i najsroźsza boleść
ty sprawiasz; tyś jest, tak jak śmierć, królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo,
miłości!

NARODZINY AFRODYTY

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
objęło cały świat. Na modrym oceanie
słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie

cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca,
różany płonął kwiat, srebrniała lilia drżąca,
nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w przestworza.

Wtem - jakby zwiewny rój motyli skrzydłem drżącym
potrafił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem:
zadrgała senność sfer i kwiaty zaszepotały,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
oczekiwanie - - cud jakiś się dziwny iści - -
z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomału - -
zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
drzeć przestał róży kwiat, liliowe ścichły szmery,
jakby zakłęta woń stanęła skrysztalona,
i w zadziwieniu w toń spojrzęła nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistymi,
i boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,

a świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
u nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosa.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują piersi jej i szyję, i ramiona,
spijają perły pian z jej zagieć i lubieżne,
w lotny okrażą tan jej uda smukłe, śnieżne,
z wolna się suną wzdłuż jej pełnych bioder, a potem
ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
złocisty szafir ocz owieją balsamiczne
i omdlewając już do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną
i naga stała tam, a dziwna jej potęga
aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga
i zadrżał wszechświat w krąg, bo z morskich głębokości
sprawczyni wyszła mąk najsroźszych dla ludzkości.

LEDA

Czy znacie Ledę Michała Anioła
w skrzydłach łabędzia z rozkoszy mdlejącą,
nagą z diademem u boskiego czoła?

Świat cały piersią oddycha gorącą,
cicho - - i tylko dalekiego morza
słysząc gdzieś falę o falę dzwoniącą.

Kaskady blasku rzuca słońca zorza,
jak opar z wody, woń wznosi się z kwiatów
i mgłą rozwiewną płynie na przestworza.

A lśnić od słońca płomiennych szkarłatów
w precudne linie gnie się nagie ciało,
na ziemi leżąc pełnej aromatów.

I co się komu kiedy marzyć śmiało
w snach najgorętszych o kobiecym pięknie:
tu ma wcielone ręką mistrza śmiałą.

A każdy członek zda się w oczach mięknie
od palącego rozkoszy nadmiaru
i w cichym ruchu rzeźbi się przepięknie.

Nagości owej promiennego czaru
w żadnym się słowie wypowiedzieć nie da;
myśli się mroczą od zmysłów pożaru

i od rozkoszy, jaką czuje Leda.

ONA

Księżyc wśród białych chmurek, którymi wiatr miota,
światła zmienne, płochliwe wywołując tony;
oceanu nęcąca, mistyczna ciemnota;
zorza, co wzrok olśniewa o południu złota;
nicokreślny blask gwiazdy w wodzie odstrzelonej;

ranek promienny, ciepły, pogodny, radosny,
rozkosz ziemi, powietrza, wody i błękitu,
pełen woni róż, lilii, heliotropu, sosny,
upajający ranek pierwszego dnia wiosny,
budzący bezmiar marzeń, tęsknot i zachwyty;

limba, co nad jeziorem chyli się o zmroku
i spogląda w głąb dumna, cicha, zamyślona,
wsluchana w melodyjny, senny szum potoku
i od fali ku gwiazdom mglejącym na stoku
nieskończonych błękitów patrząca: to ona.

LUBIĘ, KIEDY KOBIETA...

Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
kiedy w lubieżnym zwisa przez ramię przegięciu,
gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie
i wargi się wilgotne rozchylą bezwiednie.

Lubię, kiedy ją rozkosz i żądza oniemi,
gdy wpija się w ramiona palcami drżącemi,

gdy krótkim, urywanym oddycha oddechem
i oddaje się cała z mdlejącym uśmiechem.

I lubię ten wstyd, co się kobiecie zabrania
przyznać, że czuje rozkosz, że moc pożądania
zwalcza ją, a sycenie żądzy oszalenia,
gdy szuka ust, a lęka się słów i spojrzenia.

Lubię to - i tę chwilę lubię, gdy koło mnie
wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie,
a myśl moja już od niej wybiega skrzydlata
w nieskończone przestrzenie nieziemskiego świata.

NA POGRZEB TEOFILA LENARTOWICZA

Znowu Ci, Polsko, ubył syn
z najlepszych Twoich synów - -
u obcych progów kędyś tam
o łanach naszych śpiewał nam,
sercem miłował prosty gmin,
tęsknił doń spod wawrzynów.

Więc niech Mu lekki będzie sen
nad wodą Wisły siwej - -
grób Mu nie w lauru wieńczcie liść,
ale nań rzućcie wierzby kiść,
polne konwalie, chłopski len
i kłosy z chłopskiej niwy.

U spracowanych Jego stóp
w noc cichą i miesięczną
niech siądzie koło naszych dziew,
niech Mu zawiodą tęskny śpiew,
niech na fujarce gra Mu chłop
pieśń prostą, smutną, dźwięczną.

Duch Jego przyjdzie słuchać nut,
co Mu najmilsze były - -
spojrzy na łąn pszeniczny w krąg,
odetchnie wonią polskich łąk
i uraduje się, że lud
serce Mu śle w mogiły...

WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHEJ

Taki tam spokój... Na gór zbocza
światła się zlewa mgła przezrocza,
na senną zieleni gór.

Szumiący z dala wśród kamieni
w słońcu się potok skrzy i mieni
w srebrnotęczowy sznur.

Ciemnozielony w mgle złocistej
wśród ciszy drzemie uroczystej
głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli
pod słońce się gdzieniegdzie bieli
w zieleni martwy gład.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
srebrzystoturkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: pode mną
przepaść rozwarła paszczę ciemną -
patrzę w dolinę, w dal:

i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...
15
Tetmajer

MELODIA MGIEŁ NOCNYCH **(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym)**

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,

i limb szumy powiewne, i w smrekowym szept borze,
pijmy kwiatów woń rzcźwą, co na zboczach gór kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatajmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekką z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezrocza,
i sów pierzem puszystym, co w powietrzu krąg toczą,
nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikle oplatajmy go sieci,
z szczytu na szczyt przerzucmy się jak mosty wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w płasy pogoni nas skocznie...

LIMBA

Samotna limba szumi
na zboczu stromem,
U stóp jej czarna przepaść
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wichher ciemne
przegania chmury.

W krąg otoczona taką
pustką okrutną,
samotna limba szumi
bezdennie smutno...

POZDROWIENIE

Sponad wiślanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórze, pola nieś
me pozdrowienie stąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat
i wszystkie łąki pozdrów wraz,
i ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróc,
ku stawom, halom gnaj,
i pozdrów mi po tysiackroć
mój cały górski kraj...

LIST HANUSI

Kochany Jerzy mój! Pię tu stela
ten list do tobie, a pişęcy płacę.
Świat mię calućki nic nie uwesela,
kie w lesie pasę, hnet krowy potracę,
bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
kraju i cy cię tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
mój złociusieńki, to byś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
łzy ino syćko z ocy mi się lejom,
nik tego nie wié, za kim jo banuję,
ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Żal mię za tobom wciagle w serce kłuje
i nie wiem, ka się me ocy podziejom
od tyk łez. Widzi się, co mnie powiezom
wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk héba jo sama wolała
leżec hań, niżli tak płakać daremno,
a kie spać legnę, to poduska cała
mokra, kie wspomnę, jakeś ty spał se mną.
Kwilo jedyna, kaześ się podziała,
kies ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
i kies mię objon tak serdecnie w rence,
jakbyś przy miejskiej leżał ka panience.

Jo znam, ze biédna jo sprostá dziewczyna
góralaska, o mój ty najslódszy, złoty,
to nie lo tobie, lo pańskiego syna,
ale już ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
nijakiej nie mam do jadła ohoty
ani do tańca. Hłopcyska się śmiejom,
a moje siwe ocy wciąż łzy lejom.

Kie na odwiecerz przed hałupom stanę,
pojżrę, jak słonko za wierchy się kryje,
wspomnę, jak my się pod ten samą ścianę
kryli: to zol mię mało nie zabije,
a serce moje, jakoby pijane,
tłuce się w piersiak. Tęca wodę pije
z rzeki, ale tyk łez wypić nie musi,
co ocy twojej wyplacom Hanusi.

Jasiek tu fciał mnie brać, a mama z tatą
straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
zimom, a zima przódziej latem stanie,
niźli ja bedem jego. Więc się na to
ozgniewał i rzók, co on mnie dostanie,
hebaby w niebie miesioncek zaginon
abo Dónajec w górę się przewinon.

Miałoś tu do nas przyjechać na Gody,
tagek cię ino syćko wyglondała,

a tak mi było, jak rybce do wody,
jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale już wsendyl potajały lody
i śnieg już w turniak wyginon bez mała,
a tobie nie mas jednako nikany,
mój złociusieńki i umiélowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Może
jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
abo co inse, od cego broń Boże!
Nie zabacujze tak swojej dziewcyny.
U nas som zdrowi w hałupie, niemoze
ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niek cię Bóg strzeże i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję - Anna

SERIA TRZECIA 1898

OGRÓD LESBIJSKI

Noc księżycowa. Ogród pełen cienia,
gmach na kolumnach wykutych w marmurze,
świąteł szafiry, topazy i róże,
alabastrowe sale i przedsienia,
kwiaty w wazonach rżniętych w ametyście,
kielichy z piany, ze szmaragdu liście.

Wśród świateł, kwiatów, wśród kolumn szeregu
stoją posągi. Podstawy z marmuru
srebrniejącego mają blask lazuru.
Na ścian gładzonych kryształowym śniegu
zwierciadła w jaspis oprawne je dwoją -
rzędem wśród kolumn nieruchome stoją.

I tylko zda się, że ich oczy żyją
i patrzą ciche, a pełne płomieni;
i tylko zda się, że się im rumieni
piers i faluje pod wysmukłą szyją.
Rzędem wśród kolumn stoją nagie, czyste - -
o Afrodyto! o bóstwo świetliste!...

O Safo! Twoją ten ogród świątnicą!
Patrz! jakie cudne a potworne sploty!
Patrz! Marmurowy twój posąg spod grotty

laurowej wielką spogląda żrenicą,
a na twej harfy złotostrunnej struny
biją od światła płomienie i łuny.

Kamiennym palcem uderz w harfę złotą:
niech zabrzmie pieśń... miłości pieśń... A owe
ockną się białe bóstwa marmurowe
i żywym z sobą uściskiem się splecą...
Promienne bóstwa rozkoszy, zakłete
w głaz, nieruchome, cudowne i święte.

O zejdz z marmurów twego postumentu,
Afrodis biała! zrzuć zazdrosne szaty!
Na bujną trawę między wonne kwiaty
zejdz safickiemu przypatrzeć się świętu -
Eros skrzydlaty, stanąwszy w podziwie,
zdumioną strzałę wstrzyma na cięciwie...

Zbudź się, łabędziu! podnieś skrzydła śnieżne,
splot ramion poczuj, co jak miękkie fale
objęły ciebie; te dłonie, co w szale
na barkach twoich zawisły lubieżne,
niechaj ci gładzą pióra; ta pierś biała
pod twoją piersią niech drży, dyszy, pała...

Noc księżycowa. Z dala szumi morze
swoją pieśń cichą, wieczną i olbrzymią,
kratery ogniem błyskają i dymią,
woń róż, jak obłok, zawisa w przestworze

i palm kopyły ciemne się kołyszą - -
cyt - jaką wszystko przepojone ciszą...

O SONECIE

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, brązowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
a w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednym niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
lubię to górne, wąskie, naskalne wydroże,

skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie.

WĘDROWCY

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów,
na piersi twarze zadumane kłonią,
nie upajają się czarowną wonią
ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
nęci ich ona, lecz nie sięgną po nią;
chwytają ciernie pokrwawioną dłonią
i liczą ślady bolesnych stygmatów.

Aż przed bramami stanąwszy ogrodu,
rzekną: „Otośmy, zaufani w Słowie,
drogę żywota przecierpieli całą,

wściekłego naszych żądz nie sycąc głodu -
otocz nas nagród obiecanych chwałą
Panie!...” Lecz jeśli nikt im nie odpowie?...

W KOŚCIELISKACH W NOCY

I

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tajemnicze milczenia w mgławicach oparów
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
miesięcznego przedświata srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzęsanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnie je i niesie w mroku oceanu.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawico
i kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa - -
jaki dziwny szum wody - - coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwiny się roi - -
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu rozwiewa..

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa - -
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi -
zda się, widmo u groty głębokich podwoi - -
jak dziwnych głosów echo skądś wśród gór pobrzmiwa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze -
cicho!... jaki dreszcz szybko przemknął się gęstwiną -
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puchacze...

Tu - mogiła pod stosem chrustu i smreczyną -
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze - -
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

DANAE TYCJANA

Na miękkim puchu białego posłania
promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieśczoły,
z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok siania
i nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
to bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
zwiśł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwyty.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
u stóp jej białych, podobny do świtu,
gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

VIRGINI INTACTAE

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uściskał twojej drżającej ręki?

Nikt się nie oplótl w twoich włosów pęki
ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
a ciała twego kształt smukły i miękki
zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to królewskie ciało
w niczyich ramion uścisku nie drżało?
Pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w tych oczu słonecznym ogrodzie
nie trysła rozkosz kwiatami złotem! ?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższym na ziemi!

DYSKOBOL

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę mierzy - -
wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
głowę wznosił, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
w ręce trzyma dysk krągły - - wstał pierwszy z szermierzy.

Jeszcze chwila - kołysze dysk, zanim uderzy -
wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwiężył,
na prawej nodze całym ciężarem zaciężył -
rzuci - i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przygiął się - dysk w stalowych palców ścisnął kleszcze - -
kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
a boskie uda słodkie wstrząsają im dreszcze.

KALLIPIGOS

Etruską wazę tknięciem czulej ręki
pieszcząc lub w greckiej malowanej czary
wpatrzony najad i oread wdzięku,
nie czuł rozkoszy tej patrycjusz stary:

jaką uczuwa, kto z obsłony cienkiej
odkrywszy światła ciała twego czary
i dłonią pieszcząc kształt pełny i miękki,
wzrok poi olśnień boskimi nektary.

Temu, co rzeźbił Wenus Pięknotylą,
twoje się ciało przed wiekami śniło,
a nigdy przez liść blady róży białej

półton karminu nie przeświecał piękniej
ni się czarowniej kiedy uśmiechały
dwa śnieżne wzgórki słońcu... Patrz - i klęknij.-

EKSTAZA

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
w hymn mi się jeden łączą różnowzory,
w muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała...

Melodią jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
jako przelotne świecisz meteory - -
pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
z twarzą od świata odwróconą, senną -
tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
chodzili cisi, senni między ludem -
oni widzieli cud i żyli cudem...

POSAĞ HERMESA

Rzeźbiarz Hermesa posąg wykuł marmurowy,
w dłoń dał mu opleciony węzem posoch biały,
zaś do stóp mu przywiązał skrzydlate sandały
i dał mu uśmiech boski. W alei mirtowej

postawiono go na tle groty porfirowej,
skąd się róże i laury ku niemu zwieszały;

i bóg, Argos pogromca, pełen świętej chwały,
zdał się śnić pod różami i laurem u głowy.

A co noc się mirtowe gałęzie rozchyła
z lekkim, cichym szelestem i pomiędzy róże
przegląda twarz - Olimpu bogom ukradziona..

Spośród gęstwiny stopą wybiega motylą
dziewczyzna - i objąwszy pierś boga w ramiona,
wrzące pragnienie gasi na zimnym marmurze.

MASTODONTY

Burza drzew! Pniów przepaście, ocean konarów,
huragan życia, wulkan wzrostu i rozwoju,
kaskady złotych liści, fontanny powoju,
huk kwiatów pękających od słońca pożarów.

Cicho - wtem wielkie płazy dźwignęły z moczarów
potworne łby, złociste od złotych much roju;
jeleń, co z kryształnego zbiegł napić się zdroju,
stanął, nastawił uszy i pomknął przez parów.

Głuchy grzmot wybiegł z lasu dalekich zakątów,
zadrżały drzewa jako przed nadejściem tuczy -
grzmot rośnie, cała ziemia dygota i huczy;

błysnęło - to kły białe - na kształt morskiej fali,
co się wzburzona naprzód bez pamięci wali,
wybiegło z głębi puszczy stado mastodontów.

PIERWOTNE ZJAWISKO

Potworne pierwotnego zjawisko chaosu!
Przez gąszcz traw i paproci, zawichrzzone liany,
wykroty drzew olbrzymie, bagnisk oceany,
zapadając w głąb liści opadniętych stosu,

pędzi kobieta z płaszczem rozwianego włosu,
cała siercią porosła; za nią, tocząc piany
z kłów białych, krzyk wydając z piersi urywany,
gna męczyzna, podobny z kształtu do kolosu.

Nagle z drzew gigantycznych zgniętego złomiska
skoczył goryl, pochwycił kobietę w ramiona
i przygniótł, chrapiąc dziko, pierś swą do jej łona.

Człowiek ryknął, owinął palce na kształt węży
wkoło gardła goryla, w kark mu zęby wciska,
a ona - uwolniona - czeka, kto zwycięży?

ANIOŁ PAŃSKI

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,

niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,

w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,

idzie przez łąki i moczary,

po trzęsawiskach i rozłogach,

po zapomnianych dawno drogach,

zaduma polna, Osmętnica...

Idzie po polach, smutek sieje,

jako szron biały do księżycy...

Na wód topiele i rozchwieje,

na omroczone, śpiące gaje,

cień, zasepienie od niej wieje,

włóczą się za nią żal, tęsknica...

Hen, na cmentarzu ciemnym staje,

na grób dziewczyny młodej siada,

w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,

niech będzie Maria pozdrowiona,

niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,

w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,

tumany się po wydmach wodzą,

a rzeka szemrze, płynie w mrokach,

płynie i płynie coraz dalej...

A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna stąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy z dala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą -
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo
i giną w pustym gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą
polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dałą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatonął lasy, zalał góry,
pochłonał ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bólem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędę zło swoje, swój ból niesie
i swoją dolę klnie tułacza,
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasepioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy -
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy -
nigdzie tu miejsca nie ma dla niej,
nie ma spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

XIX WIEKOWI

Naprzód! przez zawichrzone ludzkości przewały!
Naprzód! przez kolumn świata strzaskane zwaliska!
Naprzód! poprzez przekłete wojen bojowiska
i jasne cisze świętej pokojowej chwały!

Naprzód! przez głód i przesyty, przez skarby i nędzę,
naprzód! przez śmierć i życie, rozkosz i męczeństwa!
Naprzód! przez cały wielki wszechbyty człowieczeństwa!

Nie mozem przestać istnieć - więc natężmy wolę
los zwalczyć i szczęśliwą wyrwać mu z szpon dołę!
Moc ducha przeciw ślepej fatalnej potędze!

Naprzód! lepiej w gonitwie do słońca w proch runąć
niż czołgać się po ziemi! Krwi swej wylać rzeki
w obronie pragnień życia, niżby przyszłe wieki
epoce naszej miały w twarz z pogardą plunąć!

RYCERZ

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali,
a po hełmie laur mu pnie się,
dank i chwałę z pola niesie.

Jedzie, pyta: co się dzieje?
w domu nie był czas niemały.

„Rozpoczęły się turnieje,
męże idą szukać chwały.

Wstali starsi, młodszy wstają,
w szranki idą całą zgrają,
idą w szranki z piersią wrzającą,
laury twoje sen im mącą.

Idą w szranki całą zgrają,
laury twoje sen im mącą,
ciebie tylko tam czekają
hej, rycerzu z zbroją lśniącą.”

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali;
czerpiąc siłę z krwi i bólu,
dank i chwałę zdobył w polu.

Jedzie, wieje z hełmu kita,
orle skrzydła świecą w godle,
chrzęści zbroja, grzmi kopyto,
lecz się rycerz chwieje w siodle.

Stanął, szepce: „Przyjacielu,
zawodników widzę wielu,
niby z sobą walczą kopią,
ale we mnie oczy topią.

Ze mną, ze mną to na próbę
wyjechali tam do słupa
i te drzewce wzięli grube -
a ja wiozę w sobie trupa.

Upiór patrzy w moje oczy,
świat mi cały kirem mroczy,
zimne ręce na mnie wkłada,
wyje za mną: biada! biada!

Co mi moc ma, chwała warta,
cóż, choć imię niesie grozę -
na ramionach moich czarta,
w ciele moim trupa wiozę.

Lecz na Boga! zanim runę,
jeszcze skrzyszę mieczem łunę,
jeszcze laury zerwę świeże
choćby na grób!... W bój, rycerze!...”

PSYCHE

Psyche tajemna, smętna, zamyślona
wyciąga ku mnie dziewicze ramiona
i twarz nade mną pochyliwszy białą,
duchowi memu każe rzucać ciało,
i z własnych żądz mych i pragnień pogrzebu,
z mogiły szalów mych i namiętności,

ku mistycznemu podnosi mię niebu,
jakbym już duchem odstawa! od kości.

Młodości mojej purpury i łuny
w dym się zmieniają i w ciemne całuny...
Niejedno myśli wybijałe kwiecie
wiatr po rozłogach i topielach miecie...
Niejedna chęć ma, ach! niejedna przysła,
jak bańka szklarnia, gdy na głąz upadnie;
niejedna gwiazda nade mną rozbłysła,
w głuchych odmętach leży zgasła na dnie...

Ileż wiar moich i obłądów ile
we wspomnień żywej spoczywa mogile...
Wielkie kościoły, kędym klękał wprzódy,
kłamstw okazały się pełne i złudy...
Pustynia ruin wokoło się piętrzy,
strzaskanych kolumn leżą całe zwały -
posągi bogów o twarzy najświętszej
strącone z podstaw w proch poupadały.

Jak czynią ludzie wielką trwogą zdjęci,
zło myśli chciałem pogrześć w niepamięci,
lecz ono było jako wąż pod liśćmi -
i nie wiedziałem w końcu, dokąd iść mi,
w jakiej się ukryć niedostępnej twierdzy
przed własnej myśli pościgiem zażartym?
Gdzie obmyć ducha ze śniedzi i ze rdzy,
by Blask odświecił i był Blasku wartym?

W bezdni upadku, w porywów bezkresie
byłem jak okręt, który burza niesie:
jedna pod chmury wyrzuca go fala,
druga w przepastną toń odmętów zwała...
Czegom nie odczuł!?!... Każdy atom duszy
przez piekło swoje szedł, boleścią siny -
i czułem w końcu, że się duch już kruszy
i że nie mam dla życia - prócz śliny...

Aż nie wzywana i niespodziewanie
biała i czysta Psyche przy mnie stanie
i takie światy mi nowe ujawni,
jakich śnić nawet nie zdołałbym dawniej;
światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni,
co poświęcili swoje zmysły Myśli,
których duch z ciała się więzów uwolni,
choć jeszcze odeń są śmiercią zawiśli.

Jeśli przez moich namiętności zgliszcze
zbrudzoną duszą prześnię i oczyszczę;
jeśli człowieka w duchu moim zgmiotę
i ducha zmienię w wszechwładną istotę:
królestwa swego mistyczne wrzeciędzie
na oścież wówczas otworzy mi Psyche
i wejść w jasność, jak dziś w mroku błędę,
i ze skał grzmiących wejść w łąki ciche.

W owej tajemnej, głębokiej wyżynie
duch mój się w duchu wszechświata rozplynie,
a razem w siebie jego bezmiar wchłonie,
jak jedną tworzą toń dwie złane tonie.
W ów świat podniósłszy się raz i wstąpiwszy,
wzgardę czuć będę, kędy dziś się trwożę,
i mrąc dla siebie, sobie będę żywszy,
i gasząc płomień, będę patrzył w zorzę.

I mieć tam będę tryumf wyzwolenia
ducha z pęt żądz, co go opierścienia;
tryumf najwyższy, kiedy mi poddanem
będzie, co wprzód było moim panem;
gdy ludzkie szały, jak sokół w kapturze,
nie będą śmiały zrywać się do lotu
i wszystkie zmysłów i umysłów burze,
jak dym rozwiany, znikną bez powrotu.

I bliski będę wyczuć i zrozumieć,
jakim się biegiem toczy życia strumień;
w jakie niebiosy z bagien i topielisk
dźwiga się bytu olbrzymi obelisk? -
I wiem, że wówczas będę mógł w wszechświecie
znaleźć harmonię pełną i porządek
i ze spokojem patrzeć, jak się plecie
nić na wrzecionie czas mierzących Prządek.

Bo ponad wszystkie: i nowe, i stare,
znajdę tam głębszą: rezygnacji wiare;

wiarę poddania się najwyższej Woli,
co się nad wszystkie inne aureoli,
skąd wszystkie inne biorą swój początek
i moc pozorną, naprawdę bezwładną;
gdzie wrócić muszą, podobne do łątek,
co z wody wyszły i w wodę upadną.

Jeszcze czas nie jest, lecz mi Psyche biała
na oczach duszy wiecznie będzie stała
i owa w dali, jak fatamorgana,
kraina ducha przez nią pokazana
już zapomnienia mgłą się nie powlecze,
i zapalone mam gwiazdy przewodnie;
zwyciężyć w duchu, co w nim jest człowieczej
i patrzeć śmierci w twarz wprost i pogodnie.

POD MARTWĄ SKAŁĄ...

Pod martwą skałą wędną górskie kwiaty,
zwarzył je mróz,
burzą strącony i zniesiony deszczem
przysypał gruz.

Wędną i próżno patrzą się ku słońcu
spod martwych skał -
i po co na tę śmierć nieuchronioną
wiatr tam je siał?...

SONETY

I

Sarkofag w ciemnym wykule marmurze
i postawiłem w nim urnę z popiołem;
w tej urnie wiele, ach, wiele zamknąłem,
więcej niż życie... Wkołom blade róże

obsadził wieńcem i bluszcze po murze
ciemnozielone i smutne rozpiąłem -
tam ze schylonym idę klękać czołem
i myśl w głębinę dni umarłych nurze.

Co jest popiołem w sarkofagu owym,
było mi niegdyś żywym - mnie się zdało,
że razem ze mną, z moim życiem skona...

A oto moje pogrzebione ciało,
a oto dusza moja pogrzebiona
w tym sarkofagu leży marmurowym.

II

O zimny marmur opieram mą głowę
i serce w urnę z popiołami kładę;
czuję, jak róże zwisły ku mnie blade,
i słyszę smutne szemranie bluszczowe.

Godziny idą... Zda się, że brązowe
słysząc stąpanie czasu... Gwiazd gromadę
już noc rzuciła na strop i lewadę
dokoła w mroki skryła księżycowe.

Jak dawno czoło o grobowiec wsparłem,
nie wiem - gdym szedł tu, był dzień na błękicie..
Com czuł, com myślał, nie wiem - śniłem może...

A może wyszło ze mnie moje życie
i tam, w to zimne, marmurowe łóżce,
tam poszło leżeć w trumnie, z tem umarłem...

SERIA CZWARTA 1900

IRONIA

Na każdym miejscu i o każdej dobie
byłam i będę przy tobie:
każdą myśl twoją, każdą chęć twą truję,
każdy twój poryw, każdy czyn twój psuję,
jestem twą klątwą, twą klęską żywota
i nic cię nigdy nie wyrwie z mej ręki;
niczym jest strata, ucisk i zgryzota
wobec straszliwej mej męki.

Cokolwiek czujesz, czegokolwiek żądasz,
wszędzie twarz moją oglądasz.
Miłość, braterstwo, poświęcenie, wiara,
szlachetne męstwo i czysta ofiara:
wszystko, co duszy zowie się wzniosłością,
ja moim strasznym naznaczam ci piętnem,
i co ci miało zdawać się Pięknością,
staje się brzydkiem i wstrętnem.

W własnej istocie twej od urodzenia
źródło mojego istnienia.
Bez żadnej winy ni za jaką karą
stałeś się moim łupem i ofiarą.
Niewinnie cierpisz, z Tajemniczej Woli,
z Woli, co rządzi losami człowieka;

wieś?, że cię z rąk mych śmierć kiedyś wyzwoli,
lecz nie wiesz, co za nią czeka?

Tak nawet z twojej godziny śmiertelnej
mój śmiech wyziera piekielny.
Jak zwierzę, węża czarowane wzrokiem,
nie możesz skryć się przed moim widokiem;
na duszy twojej leżę ciężkim głazem,
jak sztylet szpon mój w sercu ciebie boli:
bezkrzydłym ptakiem i skrzydlatym płazem
z mojej nazywasz się woli.

I sam dla siebie jesteś pośmiewiskiem,
losów już będąc igrzyskiem.
Najsroższą męką, jaka cię nawiedza,
jest twa świadomość, twoja samowiedza.
Znasz się, znasz los twój i wiesz, że bez winy
cierpisz z przekleństwa swego Przeznaczenia -
jestem przy tobie od pierwszej godziny
twego ziemskiego istnienia.

DE PROFUNDIS...

O morze, morze! Czyliż jest na tobie
gdzieś wyspa taka, gdzie bym mógł być sam,
jak w grobie?
O, niechaj pójde tam...

Niech nikt nie przyjdzie tam, li anioł ciszy
niech serce moje, gdzie miota się krew,
uciszy
przez swój milczący śpiew.

O morze, morze! Taki anioł ciemny
jest dziś pragnieniem moim i tęsknotą;
 duch, wskroś istocie wszelkiej obcy ziemnej,
słup stalaktytu przed zaklętą grotą...

O przyjdź, aniele! milczenia aniele!
W twe nieme oczy patrzeć, wpić się chcę...

Za wiele
widziały oczy te...

O przyjdź, aniele, milczenia aniele!
Na serce moje połóż rękę swą...

Za wiele
przezuczuło serce to...

O przyjdź, aniele, aniele milczenia!
Tyś Bogiem moim, tyś wszystkim mej duszy!
Przyjdź, wieczystego dawco ukojenia,
śniegu, co cicho w noc na polu prószy...

Nic nie chcę pragnąć! nic żądać!... O morze!
ruń falą ku mnie, precz unieś mnie stąd
w bezdroże
przez najszaleńszy prąd!

A może znajdę wyspę, którą marzę,

gdzie tylko cisza wiekuista trwa,
w bezmiarze
tylko ruch fali drga...

Gdy mi twą rękę na sercu położysz,
duchu milczenia z skrzydłami ciemnymi:
wzdrygniesz się w sobie cały i zatrwożysz,
bo oto idę ku tobie tam - z ziemi...
Gdy krwią mi serce wre, gdy nic nie mogę,
choćbym za chwilę czynu życie dał:

pożogę
zgaś pragnień, stłum ich szął...

Lepiej już iście jak meteor minąć,
gdzieś na przepastny morski zabiec szlak
i zginąć,
niż być bezsilnym tak!...

DUSZA W POWROCIE

Szukam na próżno - odnaleźć nie mogę -
nie mogę znaleźć dawnej duszy mojej...
Gdzież jest? Gdzie znikła?... Ach! przede mną stoi
jakiś cień - jodła widna przez sześogę.

Jakiś, cień, mara blada, znikła zjawia -
smutno się, trwożnie, bojaźliwie do mnie
zza mgły uśmiecha - patrzę nieprzytomnie,
strach mi wśród piersi zrywa się i wstawa!

To widmo - to jest - moja dusza!? Moja
dusza!? To widmo?! Ten cień!? To konanie!?
To dusza moja!? Naokół otchłanie
i mgły... Tak jest: to ona. Mówi: to ja.

To ja... Tak jest: to ty... Ty... Gdzieżeś była?
Milczy. - Skąd wracasz? Powiedz... Schyla głowę.
Mów... Głowa na piersi spada... Przez niezdrowe
szłaś kraje?... Drzy, jak haszyszem opila.

Wróciłaś?... Szept: tak - i patrzy w oczy,
jak pies, co zwlókł się i wraca ku nodze.
Ty jesteś dusza moja... po złej drodze
szłaś - nawet krew ci, spojrzuj, stopy broczy.

Nie czujesz?... Przeczy głową. Zziębła, blada,
nie czuje bólu, krwi na stopach. - Długo
błądziłaś kędyś -patrz: czerwoną strugą
za tobą bieży krew, co z nóg twych pada.

Długo nie było cię. Pójdź, chcę ci rany
obetrzeć z krwi... lecz gdzie są skrzydła twoje?..
Gdzie skrzydła!? Powiedz! Mów! Jak orzeł dwoje
skrzydeł szerokich miałaś, jak orkany!

Mówi Mów! Na Bogal Gdzie twe skrzydła? Duszo!
Dwa miałaś skrzydła, wielkie, silne, duże,
gdzież są!? - Noc legła na całej naturze,
mgły kłębem spadły w dół i światło głuszą.

Gdzie skrzydła?... Pustka... Zapomniałem ciebie,
nagle uczułem w sobie, że cię nie ma;
zacząłem szukać - przyszedłeś, jesteś... Niema
cisza na ziemi zwiśla i na niebie.

Nagle cię znaleźć i mieć zapragnąłem:
jesteś - ta sama, co tam, na Jeziorze, --
chląnęłaś w siebie świat... Przyszedłeś w pokorze
z bezwładną ręką i spuszczonego czołem...

W źrenicach suchość masz, w skroniach pożogę,
twe skrzydła strzep, proch duma twa i siła,
na stopach twoich krew... Wiem już, gdzieś była -
anioł cię śmierci wwiódł na swoją drogę.

* * *

Czemu ty, słońce, świecisz
i budzisz życie?...

Czemu ty, wielka wodo,
budzisz tęsknotę?...

Czemu ty, wietrze górski,
smutkiem przepelniasz?...

Czemu się dwoje ludzi
spotyka z sobą?...

Czemu się serca z sobą
uściskiem wiążą?...

Czemu się smutek rzeką
na ludzi toczy?...

SZATAN

Nad oceanu przywiódł brzeg
szatan, zły duch, człowieka
i rzekł mu: patrz na fale te,
co idą tu z daleka.

Jedna zśród wszystkich owych fal
płynie pomiędzy niemi;
jeśli na wodzie ujrzysz ją,
posiędziesz raj na ziemi.

Odszedł. Zaś człowiek patrzy w dal,
wyteża zadnie oczy -
miriady swoich wiecznych fal
pod brzeg ocean toczy.

On patrzy, czeka. Żre go głód,
pali słoneczna spieka,
członki mu łamie ciągły trud,
sen morzy go - on czeka.

Nadzieja i wątpliwość mu
na przemian sercem miota,
a wszystką duszę chłonie w nim
pragnienie i tęsknota.

Wtem traci z oczu widok fal -
zapadła noc ponura;

może szła fala szczęścia tam,
lecz nie mógł poznać: która?

I z żalu włosy z głowy rwie,
a szatan drwi zeń: biedny!
Idź w las jodłowy - igły tam
szukaj - tej igły jednej...

SATYR

Prawda? Kiedy nam serce uczucie rozpiera
i z duszy uniesienie namiętne wybucha:
nagle widzimy gdzieś z boku szpetną twarz satyra,
który oczy przymruża, patrzy w nas i słucha.

Drwi - a my zawstydzeni milkniemy - i przepada
chwila ekstazy duszy albo szału serca;
z iluż skarbów nas samych i ludzkość okrada
ten wiecznie czuwający nad nami szyderca!

PARODIA ŻYCIA

Żyjemy często, jako te smutne jelenie
urodzone i w puszczy wyrosłe za młodu,
które - stworzone wielkie przebiegać przestrzenie -
zamknięto do zwierzyńca, w trzy morgi ogrodu.

Mogą w biegu korzystać z sił swoich zapasu,
mają drzewa i wodę w potoku do picia,
żyją całkiem jak w puszczy - na trzech morgach lasu - -
zabija je smutek tej parodii życia.

QUI AMANY ...(KTÓRZY KOCHAJĄ)

* * *

Patrzcie na twarz Jej! Czyście Ją widzieli?
Tak piękną duszę Bóg raz tylko stwarza!
Wierzę, że mogą być w niebie anieli
i że Bóg kształt ich na ziemi powtarza
w wybranych duszach! Wierzę, że są kwiaty,
które się rodzą z spojrzeń ludzkich oczu!
Wierzę, że krążą ponad ziemią światy,
tęskniące do niej w niezmiernym przezroczu!
Wierzę, że jedno ludzkie krótkie życie
może za sobą poprowadzić ludy!
Wierzę w natchnienia z ognia, wierzę w cudy
i wierzę w bóstwo z promieni w błękicie!...

* * *

Kocham Cię za to, że Cię kochać muszę,
kocham Cię za to, że Cię wielbić mogę,
kocham Cię za to, żeś Ty mi jedyna
piękną kobietą objawiła duszę,
że się przed Tobą kolano ugina

i myśl o Tobie każda niesie trwogę,
i niepokoi się tym, i pamięta,
żeś może dla niej za czysta, za święta...

SERIA PIĄTA 1905

* * *

Opłyn mnie, ciemny lesie,
owiń mnie, dżdżysta mgło:
niech mi się w oczach niesie,
co było duszą mą.

Niech staną mi przed wzrokiem
rzeczy lecące z mgłą;
otul mnie, mgło, pomrokiem,
otocz mnie, lesie, ćmą.

Kochałem cię, Wyżyno,
kochałem cię, o Dal!...
kochałem obcość duszy
i dumny w pustkach żal...

Kochałem cię, o słońce,
na zimnych pustkach hal - -
kochałem obcość duszy
i senny świata żal...

Kocham cię tak, o lesie,
i kocham tak twój śpiew:
że mógłbym wykląć z ciebie
anioła twoich drzew:

On, co się z szumem chwieje
lub śpi w milczeniu drzew:
ze skrzydeł swoich sieje
wieczystej ciszy siew.

ŚMIERĆ

* * *

Śmierci!

Patrzysz tak na mnie dobrymi oczyma,
nie upiór straszny, nie kościana mara,
lecz jakaś wierna towarzyszka stara...

Patrzysz tak na mnie dobrymi oczyma.
Z mojego życia cóż oto wyniosłem?
To, że mam - ciebie.

Gnany przez czucie i przez wyobraźnię
pragnąłem Życie budować, szalony,
a byłem tylko dla ciebie stworzony...

To było mego bytu przeznaczenie...
szedłem: sam jeden; przeminę: jak cienie...

Ty na mnie patrzysz dobrymi oczyma,
ty wiesz, że ducha byt cielesny trzyma,
że duch jest ciałał obcy w każdym włóknie,
w olbrzymim Ruchu uroniony atom,

stracona cząstka olbrzymich Żywiołów,
obca zarówno atomom, jak światom...

* * *

Cyt... to gra Śmierć.

Wstrzymajmy rękę... wstrzymajmy krok...

Cyt! to gra śmierć... Przez błądy mrok
płynie muzyka z dali, z dali...

Wstrzymajmy oddech, wszelki ruch,

abyśmy nic nie postradali

z tej pieśni, co nam koi słuch;

abyśmy nic nie uronili

z tej pieśni, co nam serce leczy;

abyśmy w jednej krótkiej chwili

odczuli byt pozaczłowieczy...

Nie będzie długo grać...

W przelotne, wietrzne mgły się wcieli,

zniknie jak obłok, jako cień - -

pomnimy, żeśmy mieli dzień,

gdyśmy grającą Śmierć słyszeli - -

pomnimy taki dzień...

Cyt - - to gra Śmierć... To jest gra dla tych bytów,
które się kruszą już i walić mają w rum...

Głęboki, cichy dźwięk przepastnych stalaktytów,

odległych źródeł gra... Jest to lasowych dum

wieczny, falisty szum, cudowny i spokojny...

O Śmierci! pierwszy raz, pierwszy raz w życiu słyszę
dostojny taki ton, instrument taki strojny...

O Śmierci! gra j że, graj! wypełnij to zacisze
muzyką skrzypców twych, harmonią twej muzyki,
niech pod konarów strop podnosi się twój śpiew,
niech - jako tęcze lśnią u okien bazyliki -
fale muzyki twej lśnią wśród konarów drzew...

Z daleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
jest jedna Pani cicha, spokojna i blada...

U jej stóp jest jezioro słoneczne i szklane,
w nim obraz jej odbity, a opodal stoi
z marmuru Sfinks wykuty i w to połączane
jezioro zanurzony, bieli się i dwoi.

Staję przed nią i długo patrzę się w jej lice,
w lice pełne wieczystej, królewskiej pogody...
Drzewa szumią w ogrodzie i nade mną przędą
sieć legend, jak baldachim ze słońca dziergany;
usypiam pod tą wieczną, szumiącą legendą,
patrząc w biały kształt Sfinksa w wodzie połączanej.

Jej uśmiech wszystko w duszy ciemniach wypogadza
i spokój nieznajomy w głębi duszy rodzi...
Wszystko ludzkie precz kędyś ode mnie odpływa
przed obliczem tej Pani w słonecznym ogrodzie;

wśród drzew szumiących mieszka i Śmierć się nazywa,
a Sfinks u stóp jej szkli się w pozłacanej wodzie.

FRAGMENTY

* * *

Człowiek, któremu szumi wiatr we wnętrzu ducha,
wyszedł na pole rano, gdy świeciło słońce,
i rozpuścił dokoła swe oczy widzące,
i otwarł w krąg słyszając konchę swego ucha.

Szeleściła jesienna górską trawą sucha
i z pustek górskich chmury biegły śpiewające;
szedł wiatr, który się włóczy jak serce marzące,
melancholijne serce, które wiatru słucha.

I myślał człowiek: jest tu jakaś forma krucha,
w którą się wkłada życie smutne i tęskniące,
aby kwitło jak kwiaty, co więdną na łące,
i błyszczało jak mleczko, które wiatr rozdmucha;

forma, z której nic nigdy na dziw nie wybucha,
melancholijne, wielkie jezioro stojące,
w którym się topi życie, na pustkach błędzące,
ludzi, dla których wiatru szum jest rdzeniem ducha.

* * *

O melancholio, ty, co wszystkie rzeczy
pod kątem śmierci ukazujesz oku;
ty, co na smutny, błędny wzrok człowieczy

ze styksowego rzucasz mgłę potoku:
ty jesteś matką owych widzeń duszy,
gdzieś się u nieba zradzających stoku...

I oto biorąc w rękę kij pastuszy,
jako za gwiazdą niegdyś betlejemską:
za wiarą w smutku zrodzoną i głuszy

dusza wychodzi poza krawędź ziemską
i z trudem w gwiazdy podnosi się z wolna,
jakby na górę szła jerozalemską...

Aże wreszcie ziemi odbieżawszy, wolna,
precz odtrąciwszy swoje ziemskie ciało:
przez chwilę spełnień niepojętych zdolna,

przez chwilę dziwną i świętą brzmi chwałą,
bramy tajemnic gwiazdzistych otwiera
i ma poddaną Moc stworzenia całą...

Tam to jest owa dziwna atmosfera,
gdzie się uczuwa ludzka istność nasza
wyższą, silniejszą - nad słowo: umiera.

Tam już nas obraz istotnie przestrasza
pojętych na kształt Władających Mocy;
tam ust umilkłych naszych nie okrasza

uśmiech poznania własnej swej niemocy
ani jak Roland w ronsewalskim jarze,
rogiem rozpaczy wzywamy Pomocy...

Tam nie stąpamy więcej przez cmentarze
umierających siebie samych co dnia,
już się nam więcej czas nie patrzy w twarze

z szyderską wzdardą, jak lud w twarz przechodnia,
serce nie pada nam w kurz wysilone
ani się mózg nasz kurczy i zwyrodnia.

I nie ma żalu... Źrenice spuszczone
już się w głąb własnej nie staczają jaźni
za tym, co znikło - nie wzięte - stracone...

Ani już więcej człowieka nie drażni
chęć być, czym nie jest, czym być chce na próżno
i czym się widzi w pustej wyobraźni...

Ani jest klęska ni śmierć więcej groźną,
ani jest trwoga większym upodleniem,
ani samotność życia więcej mroźną:

jak ta ironia wagi między chceniem
a mocą ludzką, jak kłątwa równania
istoty swojej z jej wyobrażeniem.

O melancholio! Ty szlesz te pytania,
na które niema jest myśl i nauka,
aż utrudzony wreszcie do skonania

duch pragnie baśni i u gwiazd ich szuka.

DZWONY. TRYPTYK

CZEŚĆ PIERWSZA

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica...

Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżycy...

Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,

cień, zasępienie od niej wieje,
włóczę się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona..

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
a coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna stąd odchodzi...
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy z dala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą - -
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo,
i giną w pustym gdzieś przestworzu...

Może za rzeczną płynąc falą
polecą kędyś aż ku morzu...

A mrok się rozpościera dałą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatonął lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bólem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędę zło swoje, swój ból niesie
i swoją dolę klnie tułaczą,
i swoje losy klnie straszliwe,

z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
gwizdże koło niej wiatr i tańczy -
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy -
nigdzie tu miejsca nie ma dla niej,
nie ma spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

CZEŚĆ DRUGA

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spizu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka leży
na zamroczonych polach śniegu,
we mgle się las ponad nią jeży,
I księżyc, jako zegar z wieży,
lśni we mgle złotym kołem brzegu.

Po zamroczonych polach śniegu
włóczy się Pustka bladolica,
włóczy się Smutek zwisłogłowy,
włóczy Samotnia, której z głowy,
spod włosów trupia kość prześwieca.

Po zamroczonych polach śniegu,
pod las, co we mgle szczyty jeży,
w psa szalonego błędnym biegu,
to tu, to tam zwracając nogę,
jak upiór, co za łupem bieży:
Śmiech wydeptuje błędną drogę.
Za każdym śladem jego stopy
śnieg syczy, dym i płomień pryska -
gdy Smutek wejdzie na te tropy,
zda się, że padnie, ale milczy...

A Śmiech gna dalej, dalej, dalej
i spalenizną spod nóg błyska,
i pędzi, pędzi i śnieg pali,
pysk, jak wilkołak, szczyrzy wilczy
i leci, smrodny siarką, trupi,
leci okropny, suchy, głupi...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka leży
na zamoczonych, śnieżnych polach - -
już nie pamięta o swych bólach,
we własną istność swą nie wierzy.
Jest jako kamień, pień zrąbany,
martwa spoczywa popod lasem - -
patrzy na księżyc ołowiany,
na Smutek, Pustkę i Samotnię,
na Śmiech, co ognia skrzy się pasem;
słucha, jak dzwonów grzmia organy,
toczą się we mgłę i zawrotnie
w serce jej toczą się z hałasem...
patrzy, jak lecą smugi krwawe
mgłę na zer, nocnej ćmie na strawę...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka czuwa
na śnieżnych polach: nad jej czołem
księżyc swą mroźną sieć rozsnuwa
i blask swój rzuca zimny, trupi,
i ściga Śmiech, co bieży kołem,
ściga Śmiech błędny, suchy, głupi

i w blasku swego węzowiska
tak go oplata jasno, świetnie,
że dusza widzi w jego gębie
każdy ząb wilczy, jak połyska,
każdy ząb, co jak ostra kosa
woń kwiatu, ziół strzelistość przetnie...
i księżyc chowa się w chmur kłębie,
i płynie kędyś przez niebios.

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

W wieczornym mroku dusza tonie
w roztoczy śniegu pustej, białej - -
księżyc się snowa na jej skronie
i wzywa oczy: by szukały,
i wzywa ucho: by słuchało,
i wzywa serce: aby biło...

Pod zrosłych smreków ciemną bryłą
ciche się widmo ukazało.
Gdy księżyc załśnił srebrnym blaskiem,
załśniło z głowy jakby kaskiem:
To białej kosy ostrz przelśniewa
nad głową nisko podniesionej.

Widmo oparte o pień drzewa
siedzi z kolanem w górę zgiętym,
powłóczne kryją je zasłony,
z obliczem siedzi osłoniętym.

W ukrytej wpośród osłon twarzy -
dziwi - zda się pusto w oczodołach,
a jednak blask się stamtąd żarzy
jak w nocy świece po kościołach.

I te źrenice półkryjome,
spokojne, jasne, nieruchome,
których i Bóg sam - znać - nie wzruszy,
w twarz poczynają patrzeć duszy...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spizę brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

I gdy przez pola błaząc białe,
Samotność, Smutek, Pustka staną
przed tą źrenicą martwą, szklaną:
staną bez ruchu, wpółmartwiałe;
i jakby w mocy tych płomieni
stopione przez te zimne żary:
nikną i giną na przestrzeni,
jak spalonego torfu pary.
Jak ptak wabiony wzrokiem węża,

Śmiech błędne swoje koło zwięza,
krąży i w tył się cofa, zwraca,
a jednak przestrzeń, co go dzieli
od drzew na śniegu mrocznej bieli,
jakby zmuszony skrócić - skraca.
I pod oczyma mary bladej
gasną ogniste jego ślady,
obląd się zwięza do pierścienia,
staje i w lodu słup się zmienia.

Przez Śmiechu lód w księżycu lśnieniu,
jakby przez szybę kryształową,
Dusza i Śmierć na siebie patrzą.
Gwiazdami wstaje noc nad głową -
jedną o złotej mgły promieniu
i drugą od turkusa bladszą...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

I nagle zda się duszy, że się
zrywa od śniegów, że powstawa,
że jakieś hymny słyszy w lesie,
że w nim migoce głąb złotawa;
zda się jej, że tak pragnie życia,

iż zimne głązy, przymarznięte,
wydziera z ziemi, krwawiąc ręce,
a ran tych ból ją z martwych budzi,
w ranach się wznieca, jak w jutrzence.
I zda się jej, że dzwonów bicia
to są wołania sił ocknięto;
i zda się jej, że krew, co brudzi
z jej rąk śnieg biały, to siew zboża...
i zda się jej, że miesiąc w niebie
to jest słoneczna, ranna zorza...
i zda się jej, że czuje siebie,
ból czując: w istność swoją wierzy...

Czas idzie... Śmierć i ludzka dusza
patrzą na siebie, oczy w oczy,
ni jedna gałąź się nie rusza,
ni jedna gałąź nie zachwieje...
Cisza, że, zda się, w niebo wieje
i w sieć bez ruchu gwiazdy spina...
I z wolna, cicho, z leśnej mroczy,
zza drzew się smutek ciemny jawi,
Pustka, Samotnia idzie sina,
i z dala wolno, lecz wciąż bliżej,
to tu, to tam zwracając nogę,
Śmiech się na śniegu zajaskrawi
i coraz śmielszy, więcej chyży,
zatacza swoją dawną drogę - -
Pałacej śmierci widmo mnisze
odeszło w leśny mrok i ciszę...

Strach jakiś idzie ponadziemny - -
gry dzwonów dusza ludzka słucha
i widzi cień swój własny ciemny,
jakoby kształt obcego ducha...
i widzi życie swe przeżyte,
widzi swe wczoraj, co nie wraca;
widzi swojego życia pracę,
na którą pada całun trupi:
boleść, której nic nie odpłaca,
mozół, za który nic nie kupi,
choć ból jest jako złoto lite,
choć trud jest jako w kryształ rżnięty.
Widać dzień każdy tak odcięty
i tak na krwawą dany tace,
jako Zwiastuna głowa Jana,
przez którą była zwiastowana
Jutrznia... Noc każda z mieczem schodzi,
świt każdy jako Zwiastun wschodzi...

Na śniegach dusza ludzka słucha - -
słucha - lecz dzwonom wbrew kołace
klekot drewniany, głośny, twardy,
takiej bezmiernej pełny wzdargy,
tak pnący się coraz donośniej,
coraz potężniej, widniej, głośniej:
że zgłuszył dzwony i w głęboki
sklep nieba bije jeden, główny,

spokojny, mocny, wieczny, równy,
jak wieków równo grzmiące kroki.

Dusza się ludzka trwogą wzdryga,
czy głosu tego, co śmił dzwony,
nie tylko cień jej w mrok rzucony,
lecz ona sama pęt nie dźwiga?
Czy cienia tego błędna plama,
co się w pomroku ukazała:
to nie jest kształt jej, ona sama,
czy to nie wszystko, ona cała?...

CZEŚĆ TRZECIA

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Na Anioł Pański biją dzwony,
ani się dymią, ani palą - -
spokojną, równą płyną falą,
płyną nad lasy, ponad góry,
płyną nad wody, wsie, ogrody,
nad torfowiska i kamieńce,
nad mgieł przedwschodnie korowody,
pod gwiazd przedwschodnie blade wieńce;
płyną na pierwszy gdzieś w ukryciu

uścisk miłości, dany w życiu...
Ptaki, nim do snu stulą głowy,
śpiewają, wśród gałęzi skryte;
milczy i marzy las smrekowy,
jak gdyby miał zaczarowane
serce, w pomroczną pierś schowane.
Około krzaków jałowcowych,
w ciemnych choinach, w mgłach perłowych:
błądzą Leśnice-Osmętnice,
samotne, tęskne, w mrok owite.
Ponad szemrzącą cicho wodą
włóczy się smutny cień. Tęsknota;
blask pierwszej gwiazdy na swe lice
na usta bierze jej rumieniec,
w oczach zapala skrę jej złota,
czoło swe stroi jej pogodą,
włosy w jej tęczy stroi wieniec...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Gdzieś w pustym lesie, w głębi mroku
ukryte, ciche Szczęście chodzi
i ściga falę na potoku,
co mu spod oczu precz uchodzi;
i chwyta powiew wiatru w dłonie,

co mu z rąk dalej chybki wionie;
i szmer piór ptasich łowi ucho,
który przepada w przestrzeń głuchą...
Chodzi i błąka się po lesie -
wszędę swój uśmiech z sobą niesie,
na ustach krasny ma rumieniec,
z oczu światłością świeci złotą,
czoło ma strojne w kwiatów wieniec,
co się z włosami w jedno plotą.
Idzie spokojnie w leśną ciszę -
zaczarowane serce boru
w senny, spokojny rytm kołysze
pod pierwszą gwiazdą przedwieczorna

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Idzie samotna dusza borem,
idzie za swoją myślą głuchą;
za nią niewidnym tajnym chórem
leśne się wleką Osmętnice
i myśl jej swoją szepcą w ucho...

Już gwiazdy wschodzą światłolice,
te, które złoty róż promieni,

te, które błyszczą modro-złoto,
o skrach rubinu, skrze zieleni.

Zalśniło niebo... Wkoło duszy
wian Osmętnice leśne plotą
i śpiew kołyszą swój pastuszy,
tak cichy, że go tylko słyszą
gałązki drzew, co wkoło wiszą,
i mgły, ich stada, co się włóczą,
jakby się pasły na wilgotnych
mchach, mokrych trawach wydmach błotnych,
jeziorkach, gdzie się gwiazdy świecą...

Za duszą Osmętnice lecą...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Dusza wyciąga w okrąg dłonie -
chciałaby objąć wszechświat cały,
chciałaby uczuć w jego łonie
bijące serce...

Coraz więcej
na niebo wschodzi gwiazd nad głową,
już są tysiące ich tysięcy,
niebo jest tonią brylantową.

Na niebie gwiazdy zapalały
iłote, błękitne, rubinowe;
mienią się, płaczą, drgają, płoną
świeleją coraz nowe, nowe,
szarfami przez niebiosą wioną - -
i to jest wszystko.

Gdzieś tam w lesie
ostatni dźwięk się dzwonów niesie
i gdzieś tam szczęście w lesie chodzi...

Zdziwiona dusza jest milczeniem,
ni jeden głos się nie odzywa,
nic się nie głosi współistnieniem,
nic się ze serca jej nie rodzi...

Zaczarowane serce boru
nie w rytm jej serca prędkie bije - -
w powolny wielki szum przepływa...

Ani z wód, które płyną, chóru
rytm się w rytm serca jej nie wwiije...

W lasach, na wodach, pod gwiazd sznury,
od ziemi aż do nieba progów:
jedna bezmyślność wszechnatury,
bezmyślny spokój greckich bogów.

Wian Osmętnice plotą wkoło,
coraz ich więcej, więcej schodzi;

tajemnym chórem wiodą koło,
myśl swą szeptają duszy w ucho,
coraz są bliżej, coraz bliżej,
jak fale morza koło łodzi,
aż się wśród nich z widoku zniży...

Myśl swą szeptają duszy głuchą...
A w dźwięku dzwonów, które dzwonią
na Anioł Pański na przestrzenie:
powstaje wiosna umajona,
zielone świata podniesienie.
Klękają przed nim pola, łąny,
klękają łąki, moczarzyska,
góry podnoszą swe ramiona,
jakby się życia sakramentem
zapłodnić chciały, wziąć do łona...
Świerkowy las zaczarowany
i woda, co gwiazdami błyska:
klękają wespół przed tym Świętem.

Na Anioł Pański biją dzwony,
ani się dymią, ani palą,
spokojną, równą płyną falą,
nad ludzkie klęski, ludzkie plony,
nad śmierć, co wstanie umajona,
nad życie, które niemo skona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

PODSTAWA TRYPTYKU

Przebrzmiały dzwony. Wolna, cicha
zachodzi w otchłań tarcza słońca,
promiennym światłem się uśmiecha,
schodzi - by nigdy już nie wrócić,
tylko ten uśmiech ma w pamięci
trwać, świecić wiecznie, aż do końca.

Żegnajcie, dzwony! Nigdy więcej,
nigdy, o! nigdy nie zagracie!
Tylko gry waszej pogłos brzmienny
ma być słyszany w zmroczy sennej,
macie odzywać się w pamięci,
w noce dalekim echem wrócić...

Nigdy, o! nigdy, nigdy więcej
wy już o zmroku nie zagracie!
W świat rozrzucone wasze tony
leczą jak obłok rozproszony,
który przyplynał wiatr rozrzucić...
Tylko gry waszej pogłos brzmienny
ma być słyszany w zmroczy sennej,
macie dalekim echem wrócić.

MARSZ ZBÓJECKI ZE „SKALNEGO PODHAŁA”

Hej! idem w las - piórko się mi migoce!

Hej! idem w las - dudni ziemia, gdy kroczę!

Ka wywinem ciupazecką - krew cerwonom wytocę!

Ka obyrtne siekierecką - krew mi spod nóg bulkoce!

Ciemnińska noc - ogień lasem prześwieca!

Ciemnińska noc - złe się złemu zaleca!

Na polanie popod jedle - watra w lesie się pali:

cy się grze j om dziwozony - cy j om carci skrzesałi?

„Ty mlady brat - ty sa z nami stowarzis!

Jak padnie ci - budzies cironom ziemie gryz,

a jak padnie - talarkami, dukotami budzies siał,

na każdy dzień freirečku - kohanečku budzies miał!”

Hej, bratowie! - ja sa ku wam zwerbuję!

Nie płáćcie mi - kohanecki leluje!

Nie płáćcie mi, siostry moje - jabłonecki bielućkie!

Nie płádze mi, matko, ojce - gołąbecki siwućkie!

Nie płáćcie mi - jo se idę zbijać, kraść!

Za dak mi las - zo posłanie mokwa, chraść!

Jak mi padnie talorami - dukotami bedem siał!

A jak padnie siubienicom - budzie se mno wiater chwiał!

SERIA SZÓSTA 1910

(1909 ROK)

Przeminął czas, przeminął czas
młodości tęsknych pieśni,
co się nie stało życiem w nas,
już się nie ucieleśni.

I tylko jedne w sobie ma
różnicę późna pora:
młodość do jutra tęskni dnia,
wiek męski śni o wczora...

Lecz duszy się nie zmienia głos,
czym rodzisz się, tym giniesz,
a komu tak przeznaczył los:
ujrzysz, zrozumiesz - - miniesz.

TEŚKNICA

„...zdrowie,
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił...”
Adam Mickiewicz

JUŻ NIE WIEM, CO POZA MNĄ BYŁO...

Już nie wiem, co poza mną było -
czy żyłem kiedy?... czy kochałem?..,
Zda mi się, stoję za mogiłą -
cóż w tej mogile pochowałem?

Czy pochowałem jakie kwiaty?
Czy pochowałem złote rzeczy?
Nie wiem - to jakieś dawne światy,
stracone z mego serca pieczy.

Snadź nic nie było żalu warte,
skoro nie został żal po niczem - -
napisy trumien są zatarte,
blask lamp grobowych nie był Zniczem.

Jak obcy po przeszłości chodzę,
w tę i w tę stronę zwracam głowę,
a to są przecie tu, przy nodze,
krwi mojej rzeki koralowe.

Wstrzymam się, idę i znów stanę,
jakkby nie wiedział, gdzie wniósł głowę

a to są przecie w bród rozlane
krwi mojej rzeki purpurowe...

A KIEDY...

A kiedy będziesz moją żoną,
niechaj ci oczy jasno płoną
i patrzą w pustkę tam daleko,
gdzie się czcze dymy z ziemi rodzą
i jak upiory gdzieś się wleką,
i jak umarli w nią odchodzą.

A kiedy będziesz moją żoną,
słuchaj, jak pustka w ciszy dzwoni,
jak echa pogrobowych dzwonów
w bezdeni nieba kędyś toną
i jak sekundę każdą goni
szmer łez żałoby i szmer skonów.

I niechaj ci w rozwarte oczy
żar, jako piorun, ogniem strzeli
i olśnij się w błyskawic bieli,
jak duch, co nad mogiły skoczy
i z nieba na skroń ściąga gromy,
aby w nich stanąć niewidomy.

Bowiem zaiste dziś ci mówię,
żeś w ogniu winna stanąć cała,
jako bóg grecki skamieniała

i osłonięta przez gwiazd mrowie,
niedotykalna, niewidzialna,
ogniem zakryta i zapalną.

Imienia twego niech nie śledzą - -
ja wiem i śmierć, co jest przede mną;
kres nam za jedną cichą miedzą,
choć nie pójdziesz w otchłań ze mną.
Choć dzwon ustanie bić na wieży,
długo, daleko dźwięk się szerzy.

Zostaniesz po mnie, chociaż wstała
wraz ze mną, wieczna i dozgonna,
ty towarzysko mego ciała,
którą poślubiam jako żonę - -
a imię twoje to czczość wonna,
która oplata drzew koronę.

CIEMNY, PACHNĄCY LAS...

Ciemny, pachnący, wielki las!
Ile tu kwiatów, ziół i traw!
Jak złotem ku mnie błyszczy mech!
Ile tu duchów lata w krąg!
Jak błyszczą skrzydła pośród drzew!

O Boże! Cóż za cud i czar!
Sto dębów z wiatrem szumi wraz!
Sto dębów mgłę przerzyna wpływ,

złotą, słoneczną, letnią mgłę,
i wonny, świeży wiatru dech
złotych rozwiesił arfę wstąg...

Idzie! o! idzie z ziemi zew,
z pachnącej ziemi, z wonnych par,
idzie i woła, gra i grzmi!
To idziesz ty, to idziesz ty,
o Bóstwo święte, święta Moc!
Matko i dziecko duszy mej!.-

O wonny, święty, wielki las!
O blask, co zdołał ciemność zmóc!
O deszczu światła! lej się! lej!
O święto leśne! Lata czas!..

NAD RZEKĄ

Taka mi się marzy wielka rzeka,
co ze źródeł wysokich wycieka
i w dół z dzikim łoskotem się wali,
rwąc wsze tamy, co się piętrzą fali.

Het porywa podobłoczne buki,
stacza głazy ciężkie i olbrzymie,
wały kruszy i rozmiata w sztuki,
a sto gromów gra w jej srebrnym dymie!

Pędź, pędź, rzeko!... Na krawędzi siedzę
i twe wody rozszalałe śledzę,
pod nogami mi spienione płyną - -
na krawędzi wiszę nad głębiną...

Tam daleko - daleko - ocean zielony,
cichy, wielki - - święte wód bezbrzeże - -
nad nim wichry grające jak dzwony,
Bóg dostojny - - i to święte „wierzę...”

Bóg dostojny - Wielki i Wspaniały,
Bóg dostojnej, spżowej martwoty - -
z dygocącej nad głębiną skały
patrzę, patrzę... o bezden tęsknoty!...

CICHE, MISTYCZNE TATRY...

Ciche, mistyczne Tatry, owe wieczne głusze
zimowych, śnieżnych pustyń, owe zapadliska ,
niedostępne wśród złomów, gdzie jeden się wciska
mrok i gdzie wichur końcem swych skrzydeł uderza
z głuchym jękiem, jak końskie na polu kopyto,
uderzające w zbroję martwego rycerza:
ty, pustko, w siebie wołasz błędną ludzką duszę...

Ty, pustko nieskalana, kędy myśl człowieka
w dumną, zimną samotność wolno się odwleka,
jak lew ranny w pieczarę zapadł i skrytą;
ty, pustko nieskalana, gdzie się dusza rzuca

zmęczona i ponura, by z krwi chłodzić płuca,
oczy myć z kurzu, ręce ogartywać z błota...

O Tatry! Jakże drogą jest wasza martwota!
Ten chram, kędy ofiarę niezmiernemu Bogu
odprawia wiatr u skały lodowej ołtarza,
a tej mszy słucha turni zwieszonych milczący
tłum i białego lasu przepastna ciemnota,
i kędyś uczepiony na szczytowym rogu
blask wschodzącego słońca, co lody rozżarza,
na kształt lampy ofiarnej, u stropu wiszącej!...

A kiedy się gwiazdami zaświecą przestrzenie
wiekuistego nieba i nieprzeniknione
zejdzie na ziemię nocy zimowej milczenie:
wówczas mi się wydaje, że już lat tysiące
ubiegły, że już życie dawno pogrzebione
i że jest to dusz ludzkich, dawno niepamiętnych,
dusz do szału zuchwałych, do szaleństwa smętnych,
uroczysko grobowe, senne i milczące.

KTO ZAWSZE TYLKO ŻYŁ W PUSTYNI...

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
niechaj nikogo ten nie wini,
że nie podniosą się rozpacze
i tylko nad nim kruk zakracze.

Kto się nie imał ludzi sprawy
ani się wcielał w ból ich krwawy,
niech nie narzeka ten spod ziemi,
że ludzie nad nim idą niemi.

Kto kochał tylko wicher i skały,
od skał i wichru li ma prawo
żądać, aby go żałowały,
kiedy pod zimną legnie trawą.

MEMU SYNKOWI

Mój synku mały, dźwignio życia
mego i celu duszy mej:
nad twoim czołkiem od powicia
zabłył zły uśmiech doli złej - -
i całym mego bytu celem
jest walczyć o cię z dolą tą,
klątwy nad tobą być mścicielem
i spłacić dług mój choćby krwią.

Krwiają mą serdeczną, trudem, męką,
gdyby tak padło za twą rzecz - -
mój synku mały: tą piosenką
budzę cię rano gdzieś tam precz...
Otwierasz oczy jasne, duże,
jak mądry anioł oczy masz - -
mój synku mały: tam, na chmurze,
tam musi być nad tobą straż.

Mój synku mały: teraz czuję,
jak w sercu wiara rodzi się - -
cóż ja potrafię, cóż zbuduję,
jeśli inaczej fatum chce?
I szukam Boga koło siebie,
i szukam jakichś dobrych sił,
aby mi strzegły, synku, ciebie,
abyś ty żył mi, abyś żył...

I moje błędne w myślach czoło
jam gotów wbić w modlitwy próg
i czekać, czy mnie ręką gołą,
gołą Swą ręką nie tknie Bóg - -
czy mi nie powie tam, z tym czołem
śmionym przez błędny myśli wian,
zgiętemu tam pod błędzeń kołem:
Jam jest nad twoim synem - Pan!...

Synku mój mały: rośnij duży,
rycerz bez skazy i bez trwóg,
do świętej ręce podnieś róży,
święty na piersiach zawieś róg:
ta róża - to szlachetność duszy,
to cudna, męska, lśniaca stal;
róg: to Achilla głos wśród głuszy,
królewski głos goniący w dal...

Ty bądź poetą - ty żyć w sobie
wszystko, co ojciec marzył, śnił,

wszystko to, po czym jest w żałobie,
oby twych krwią się stało żył - -
gorzki zawodu i zwątpienia
trujący uśmiech z twoich ocz
niech się tryumfem wypromienia -
ty mój zgubiony odnajdź klucz...

I ojca twego, co milczący
u nóg by twoich siedzieć chciał
i słuchać, jak ty, anioł grzmiący,
słowem twym wierchy zginasz skał:
ty nie potępij, że tak mało,
tak mało zdołał zrobić sam - -
nie żyłem próżno, umrę z chwałą,
że ciebie, o mój synku, mam...

Już słyszę pieśń twą - wiatr, co leci
przez morza, kraje, świata zew - -
słowo nabrzmiałe krwią stuleci,
zwiastuna rannej zorzy śpiew;
w twojej pieśni ból i radość świata,
i mądrość jego, czyn i sny:
wszystko się w jeden akord splata
i tym poetą jesteś ty!...

Ty jesteś tym poetą, który
śnił mi się, gdym był młody ptak - -
nie doleciałem tam, do góry,
czułem go tylko - - tamten szlak...

O synku! ty mi tam wylecisz,
ty stamtąd spojrzysz, z góry tam - -
jak słońce w niebie ty zaświecisz
i dumny będę, że cię mam!

I zmarnowane moje życie
objaśni blask twój, synku mój - -
będę cię śledził tam, w błękicie,
z radością, z trwogą wołał: stój!
Wiara i trwoga będą zarem
wstrząsać mą duszą, w sercu drgać -
lecz ty nie będziesz mi lkarem,
jak bóg lśnić, jak bóg będziesz trwać!

I po raz pierwszy w moim życiu
będzie mnie błogosławił tłum,
żem dał mu duszę, że już biciu
serc jego dał ktoś wichrów szum
i po raz pierwszy ja do rzeszy
wyciągnę ręce, ja, com stał
z boku, jak jeździec obok pieszej
ciżby, lecz nie wódz dusz i ciał.

Dziecino moja! Ciebie bawi
zabawka, ale w oczach twych
już się duch jasny, mocny jawi
i dumę myśli ma twój śmiech.
Dziecino moja! Zapłać za mnie
ten, com był winien światu, dług

i na mym grobie powieś dla mnie
złamany miecz, złamany pług...

SERIA SIÓDMA 1912

O ZAWISZY CZARNYM

ZBROJA ZAWISZY

A kiedy się zabierała wyprawa krzyżowa,
przyszedł Czarny Pan Zawisza Sulimczyk z Garbowa
do płatnerza sławetnego krakowskiego cechu,
co w fartuchu stał i z młotem, arcymistrz od miechu,
który witał go pokłonem, znał rycerza z twarzy,
zaś Zawisza mu na ramię rękę sparł i gwarzy:
„Słyszałeś to, bracie, o tym, że cny król Jagiełło
wbrew rycerzom pod krzyżami krwawe podjął dzieło;
już poluje het po puszczach i zwierzynę bije,
aby miało jeść co wojsko, gdy dźwigną kopije.
A gdy z dala u cesarza rzymskiego na dworze,
gdziem w estymie był okrutnej i w srogim honorze,
posłyszałem, że się Polska do boju porywa,
wrazem jechał, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Uróbże mi, proszę, bracie, zbroję, jak się patrzy,
nową zbroję na bój święty, od tego nie gładszy,
jaki ze mną Aragonu król Jan niegdy zwodził,
a którego wyparł z siodła, ledwom go ugodził.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
abym ciężki był na koniu jak krakowskie gmachy;
ma być zbroja szmelcowana, bym jak miesiąc lśnił się,
by poznali, gdzie Zawisza i kędy on bił się.”

Gdy powiedział tak, zaraz się mistrz zabrał do pracy,
kazał sobie dać do miechów dwóch tęgich duchacy,
by dmuchali wiatr na węgle, a sam miarę bierze,
by Zawiszy postać zmierzyć. „Mierz, bracie, a szczerze -
mówi rycerz - bom ci to ja nienawykły ciasno;
lubię słyszeć brzęk zbroicy, gdy ją stałą głośną,
i jest dla mnie to niemałą, płatnerzu, uciechą,
gdy mi dźwięknie między zbroją a sercem, jak echo.
Już też długo Krzyżak polskie pogranicze derbił,
czas, by mu się na łbie twardym polski miecz wyszczerbił,
wstanie Polska, jak lew z leży, i mocna, i mściwa,
więc mi kuj zbrój, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy,
na ramiona kuj mi grubo, bym, gdy się zamierzę,
taki ciężar miał u miecza, jak z kopalń mincerze;
grubo kuj mi zbrój na uda i nagolenniki,
bym parł konia, jak kra drzewo, kiedy runę w szyki,
li na piersiach kuj mi cienko, cienko jak opłatek;
niechaj będzie stal tak cienka, jak lilii płatek,
jako lilię kuj od przodku, bym też za ojczyznę,
jeśli Niemiec to potrafi, wziął na piersiach bliznę.”

ELEGIA NA ŚMIERĆ CZARNEGO ZAWISZY

U Dunaju, u szerokiej rzeki,
stanał cesarz z wojskami licznymi.
O! jakież świat daleki
do swojej ziemi.

Cesarz Zygmunt, z Luksemburga pan.
przy nim panów i rycerzy wian.

O! jakież smutne są przeczucia duszy...

Tak zaporą legli Turkom wbrew,
z Luksemburga cesarz Zygmunt, lew.

Przy nim panów i rycerzy mnogo,
z których każdy kopię w boju kruszy.

O! jakże srogą
jest melancholia duszy...

Oblegali miasto, przed sultanem,
lecz on przyszedł z wojskiem chorągwanem.
A gdy wojsko sultana ujrzeli,
wartownicy do pana bieżeli;

do Zygmunta, rzymskiego cesarza,
wszystkich Niemców pana i mocarza.

Zląkł się Zygmunt i jego rycerze,
choć się każdy zdał życiem ofiarny;
wszystkich blady lęk za włosy bierze,
ale nie zląkł się Zawisza Czarny.

O świtaniu uciekała rzesza,
cesarz Zygmunt dumny i dostojny - -

od Dunaju wstecz wojsko pośpiesza,
każdy rycerz ozdobny i zbrojny;
z schylonymi wstydem na pierś głowy
uciekają przed strasznymi łowy
rozpędzonej poza nimi wojny.

Jadą, jadą o świtaniu słońca,
lecz to słońce na plecy im świeci,
na ich plecach lśni blacha błyszcząca,
lecz Zawisza został samotrzeci.
Dwaj pachołcy przy nim pozostali,
prości ludzie, ubodzy i mali,
ze zagrody wyszli polskich kmieci.

Tak samotrzeć Zawisza pozostał,
nie, by dufał, aby wrogom sprostał,
bowiem wiedział, że nie jest człek święty,
którym Pan Bóg posyła anioły,
ale znał się w rycerstwie poczęty
i czczył miecz swój, ogromny i goły.

Zląkł się Zygmunt i jego rycerze,
choć się każdy zdał życiem ofiarny;
wszystkich blady lęk za włosy bierze,
ale nie zląkł się Zawisza Czarny.

Ani mu to cnota, ni nagroda,
ani mu się cześć za to należy;
nic znać lęku jest dusza rycerzy -

to tak kwitnie, jak kwiat wśród ogroda,
gdy posiany, oplęt, podlewany -
to rzecz zwykła, nikt się nie cuduje...

Któż się dziwi, kogo Bóg werbuje,
że ten kroku nie dał przed pogany?...

Ach! Jak smutną jest duszy zaduma,
gdy nad głową nieszczęście łopota...

Ach! Jak gorzką jest duszy tęsknota,
gdy w świat cały z nikim się nie kuma...

Ach! Jak ciężką jest samotność duszy,
gdy się wszystko koło człeka łamie...

Ach! Jak zwisa zbezwładnione ramię,
gdy się serce w piersiach z żalu kruszy...

Ach! Jak strasznie czuć jest opuszczenie...
W puste serce wąż bólu się wsuwa
i żelazną obręczą je skuwa
krew mieniające, zabójcze milczenie...

Ach! Jak twardo głucha ziemia jęczy,
gdy samotna stopa ją uderza - -
którą oko samotne przemierza,
jak posepna jest ta gloria tęczy...

Ach! Jak smutnym jest żywot człowieka,
który nadrósł ludzkiego żywota - -
pozostaje mu tylko tęsknota - -
ani wzywa kogo, ani czeka,
ni spodziewa się, ku komu dąży,
żał się przed nim sunie, jak chorąży,
i nad głową widzi próżnię świata,
w gwiazdy sianą bezdenną kopułę;
jego serce więdnie, jak kwiat czule,
i liść śmierci nad sobą zaplata...

Nieprzyjaciel to k'niemu nie dąży,
nie ma nazwy dlań wrogów nawala -
on tu stoi: trwałości chorąży,
pan swej duszy, władca swego ciała,
ślubowany sam sobie i wpięty
w własne koło swego przeznaczenia,
ani wrogi, śmiały, ni zawzięty,
tylko rycerz...

Na miecz swój spogląda,
miecz ze stali kuty i z płomienia,
krwią nabrzmiały, chociaż krwi nie żąda.
W złym przeczuciu na miecz swój poziera,
bije trwogą serce bohatera.

I powiada sam sobie: o mieczu,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?

Będą, będą rycerze szkarłatni,
lecz czy ciebie nie będą w odwieczu
wspominali - żeś był miecz ostatni?

I czy będzie jeszcze w Polsce ręka,
która taki, jak mój, miecz podniesie -
czy się serce polskie nic zaleją,
że się zbląka w mych wawrzynów lesie?
Czy na taką potęgę i chwałę
będzie serce w sumieniu dość śmiałe?

O mój mieczu, o mieczu mój krwawy,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?
Będą jeszcze rycerze szkarłatni,
lecz nie będąż Hektorowej sławy?
O mój mieczu, w dalekim Dunaju
utopiony, stracony dla kraju...

Słyszę imię me w wieków rozłogu
jak na turzym zatrąbione rogu,
płynie echem, lecz się nie uderza
o hełm niczyj ni się od puklerza
niczyjego odbite nie wraca,
lecz się w echu, jak chmura, roztrąca...

Jako z woru owsa, tak się sieje
ziarno z mego krwawego nazwiska
i na głowy spada, i połyska,
ale w żaden się szyszak nie dzieje

i nikomu zeń kłosu na głowie
wzwyż tryumfu nie pną aniołowie...

O mój mieczu, o mieczu mój krwawy,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?
Będą jeszcze rycerze szkarłatni,
lecz nie będzie już serc bez obawy,
serc bez lęku...

W świat z daleka widno
Turkom Niemców ucieczkę bezwstydną.
Pan Zawisza od ołtarza wstawa
i z cichego wychodzi namiotu -
na miecz wsparta jego ręka prawa,
a twarz smutku pełna, nie kłopotu.

Cóż kłopotać się, gdy jedno czeka,
czyj duch nadrósł w głębizny człowieka.

I poglądał na tych, którzy mali
sami jedni przy nim pozostali;
proste chłopcy polskie hen ze Spiza
ze starostą swym spiskiem przybyłe -
patrzają śmiało^ gdy się śmierć przybliży,
patrzają śmiało w otwartą mogiłę...

O maluczcy olbrzymiego ducha!
Oto jeden na ligawce dzwoni,
na ligawce górskiego pastucha,
drugi wsparł się na włóczni i słucha -

cóż w ich duszach? Kędy myśl ich goni?

Cóż w ich duszach?

O ten czas znad borów,
znad łąk mokrych na spiskiej równinie
wstaje opar czerwony i płynie,
zrąb Łomnicy słoni do połowy,
a ponad nim, w zarzewiu kolorów,
trzon jej czarny pod niebo się wspiera,
trzon ogromny, czarny, granitowy,
na kształt orła, co ziemię przeziera...

Ach! daleko!... Lecz tu, w świetle słońca,
czarny rycerz świeci jak Łomnica
i tak oko tych chłopów zachwyca,
jak moc Tater nad nimi stojąca.

On ich zaklął w swój widok... Nad głowy
pan im Czarny rozpiął ręce obie - -
oto w jednym chowan będę grobie
z tobą, ludu... Mój miecz Achilowy,
który święte ciął na poły sprawy,
a nie poniósł nigdy podlej szczyrby,
z wami legnie strudzony i krwawy
i to będą rdzawe jego herby
dla was, chłopci, ta krew, co na czoła
z mego miecza wam spłynie anioła...

Dosyć! Konia małego!

Czy duchy?

Czyli perskie rozszalałe diwy?
Leci rycerz z postaci straszliwy,
na kształt ziemią rwącej zawieruchy;
pod nim konik brzuchem tyka ziemi,
on zaś stopy żelazem kutemi.

Z nim, włócznie wyteżywszy, w białej
wełnie leci dwóch poczet zbyt śmiały...

Świsnął arkan, nim dotarł pan Czarny,
z konia zerwał rycerz na powrozie - -

o! jakież marny
temu los, co sam został w obozie...

O! jakże sroga
jest moc przeczuć złych, gdy śmierć nadchodzi...

Ukradł głowę Zawiszy spah złodziej
i do sułtańskiego niósł proga...

Bo za króla go wzięto - - że był
królem życia najsmutniejszych sił...

Arma tua fulgent, sed non hic ossa quiescunt,
Divae memoriae miles, o Zawisza niger!

(A to stało się u Szmiechyrowa
Hrada, w ziemi dalekiej chorwackiej;
tam największy poległ rycerz lacki,
będzie temu niedługo połowa
lat tysiąca, rok tysiąc czterysta
i dwadzieścia ośm. A tę rocznicę
czcić pomnijcie, bo to było święto
takie ducha, że niechaj korzysta
z tych dat naród, któremu w przyłbicę
pluto z oczu otwartych podjęta!)

DZIECINNY OKRĘCIK

Dziecinny okrężik płynie
po morskiej het głębinie,
ze sznurka urwał się;
przez morza mknie otchłanie,
nikt nie wie, kędy stanie -
w żagielki wichur dmie.

Może aż w oceany
okrężik, wiatrem gnany,
zapłynie - w wieczną toń;
patrz, jaki jeszcze wielki,
dzień bieli mu żagielki - -
goń z wiatrem statku, goń!...

Maleńka dziecka dusza
w ślad za okrętem rusza,
wśród białych płynie pian - -
podnosi się i zniża,
polotna, lekka, chyba
z skalnych wybiegła ścian.

Wraz cieszy się i smuci - -
i piękny, i nie wróci
okręciak ślicznych farb;
het tam, przez morskie wały
wiatr w żagiel dmie mu biały,
znów w fal go kryje karb.

Już zniknął. Próżno oczy
śledzą go na roztoczy -
nic, tylko szafir wód;
pustynia - wiatr polata -
błękitny bezmiar świata
i poręcz brzeżnych wrót.

Tak kiedyś precz ode mnie
w życia poleci ciemnie,
o dziecko, dusza twa - -
tak będzie odpływała
skrzydlata, czysta, biała -
Bóg tylko szlak jej zna.

Lecz patrz! Jak głąb ta świeci
i wiatr, co po niej leci,
jak czysty z górskich wież!
Patrz! Jak w tej słońca ciszy
pełnią piękności dyszy
świat cały wzdłuż i wszerz!

Patrz! Wzrokiem gdzie sięgamy,
nie ma na wodzie plamy
ni błękit brudzi mgła...
O dziecko! Niech w tak czyste
głębiny i świetliste
popłynie dusza twa...

ŻYCIE

Od jesieni do jesieni
życie w biegu się nie leni
i od lata znów do lata
jak kurzawa z wichrem zmiata.

Rdzą przeżarci i kłopotem
pytamy się: a co **potem**?
Pod krzyżami upadamy
i co **potem** się pytamy?

I co potem, i co potem -
gnani smutnym samolotem,

wśród ciemności i przepaści -
ideałów entuzjaści.

STRASZNY ŻAL

Dziś, kiedy życia mego słońce z wolna spada,
ni przyjaźń mnie otacza, ani wdzięczność ludzi;
z jednej strony mej stoi melancholia blada,
z drugiej cień, gdzie nadzieja niczego nie ludzi.

A przecie w tej „z słoniowej kości mojej wieży”
niejeden bok się szczerą ludzką krwią czerwieni,
niejeden jęk ludzkości w fundamencie leży
i u szczytu dusz ludzkich dość świeci płomieni.

Dziś, kiedy życia mego słońce dąży spadać,
jedno li widzę, czego trzeba mi żałować:
żem był zmuszony słowo moje wypowiadać,
a nie mogłem li sobie w sobie go zachować.

Z FACKIEWICZÓW KUFKOWA

Z Fackiewiczów Kufkowa - bywa, czyta, gada,
ma żurki, daje rauty, na loteriach siada,
flirtuje, sądzi książki, do teatru chodzi,
gdzie może, nie pomoże, gdzie potrafi, szkodzi,
z Fackiewiczów Kufkowa. Ma swe przyjaciółki,
gryzie, a gdzie nie chwyci, obślinia do spółki.

Bezwiedny snob, z natury ordynus duchowy,
w salonie ma swój portret za szkłem pastelowy,
mówią, że „sympatyczna”, ma mieć „wdzięk wrodzony”,
najbardziej lubi mścić się i leżeć na ogony
hrabin na wielkich balach. Ubiera się z gustem,
zajmuje swoich bliźnich przykazaniem szóstym,
że **już** lub **że nie jeszcze** - bez żadnej obawy,
że to jest najciekawsza kwestia dla Warszawy;
bywa, czyta, ma żurki, na loteriach siada,
flirtuje, daje rauty, sądzi książki, gada,
z Fackiewiczów Kufkowa.

Raz była w Egipcie
z mężem i bratem męża. Kiedy tam, na krypcie
króla stojąc, warszawską zaczęła rozmowę:
Sfinks skrzywił się i z wolna zwrócił na bok głowę,
on, co nieporuszony patrzył na Ramzesa,
na wojny, rzezie, orgie i wszelkie ekscesa,
na plagi Mojżeszowe i w opresji Żydy,
faraonów fantazje, obchody Izidy,
nawet kiedy sam pod nim stanął Bonaparte,
nie uznał, aby było to uwagi warte:
skrzywił się i odwrócił z wolna na bok głowę,
kiedy zaczęła pod nim zwyczajną rozmowę
z Fackiewiczów Kufkowa.

JAK JANOSIK TAŃCZYŁ Z CESARZOWĄ

Pagórami, wzgórzami, równiami
szedł Janosik i z towarzyszami

Iliczyk, Gajdoś, Baczyński, Surowiec
szli poza nim przez bór i manowiec.

A wokoło była pustka dzika,
dzika pustka, siostra Janosika,
Janosika siostra, matka, żona,
dzika pustka, sercem ulubiona,
ulubiona sercu, oczom, duszy,
górska pustać, którą wiatr się puszy.

I ujrzeli miasta pod górami,
białe miasta z białymi wieżami,
i winnice ujrzeli kwitnące,
i po łąkach stada stąpające;
zobaczyli zboża jak makaty
i jak gwiazdy na niebiosach kwiaty,
i Dunaju rzekę modrosiną,
której wody aż do morza płyną,
i patrzyli z pagórów uprzejmie
na tę ziemię, jak oko obejmie,
i patrzyli na nią po przyjaźni,
ci zbójnicy wierchowi i głaźni.

Nie o złoto im szło ani srebro,
mieli złota schowanego dość,
mieli srebra aż pod piąte żebro,
że jak jodły z niego mogli rósć,
jako jodły, gdy obsypie śnieg,
a Tatr łańcuch tego skarbu strzegł.

Nie o złoto i srebro im szło
ani chcieli rąk czerwienić krwią,
ani chcieli na świat trwogę siać,
ni żupanom znać o sobie dać;
niech niedzicki i orawski gród
śpi spokojnie, patrząc w głębię wód;
lewoczański i koszycki graf
niech dumają, że Janosik praw...

Hej, praw on im! co łupieżą lud,
co słowiański piją pot i krew!
Lecz Janosik chce wesołych nut,
austriackich, modrookich dziew,
bo go walka strudziła i bój
i utrudził zbójowania znój.

Jam odbierał możnym i ubogim
dawał z możnych uzbierany łup;
jam w jedwabiu plątał ręce drogim
i wieśniaczkom go rzucał na ślub,
com go kupcom na gościńcu wziął,
a w królewskie ornaty jam dał!...

Tak se myślał i poszedł przed siebie,
bo on chodził jak orzeł po niebie.

Hej! - powiada mu Surowiec. - Ano
widzę karcznię przed się murowaną,

jeśli chcemy dusze poweselić,
prosto do niej jak z flinty wystrzelić.

Popatrzył się Janosik pod słońce,
popod palce od blasku jarzące,
i powiada po niedługiej chwili:
dobrze, chłopcy, tam będziemy pili...

A gdy przyszli do karczmy, do białej,
austriackie dziewczki tańcowały,
austriaccy tańcowali chłopcy -
poglądneńi, że przybyli obcy.

Wszedł Janosik do karczmy, do białej,
stanął we drzwiach, jak dąb okazały,
jako dęby towarzysze za nim,
w drogiej zbroi, w ubiorze nietanim.

Siedli za stół, kazali dać wina,
austriacka pojrzała drużyna,
muzykowi do garści dał - naści! -
sam Janosik dwanaście dukatów.

Powstał Cygan: co mam zagrać waści?

A Janosik: graj sam, do stu katów!

Nie dla siebie ja płacę twą pracę,
graj tym dziewczkom! Za ich taniec płacę
i funduję im tutaj zabawę,
co na Austrię pójdzie i Morawę!

Wstali na to austriaccy chłopcy,
od siekiery i cepów parobcy,
obstąpili kołem Janosika:
Ktoś zacz?! - krzyczą. - Hajże na zbójnika!
Nam tu twego nie trzeba płacenia!

A Janosik brał dziewcząt spojrzenia.

Nam tu twego nie potrzeba złota!

A dziewczęta pociąga ciągota.

Nam tu takich nie potrzeba gości!

A Janosik podgrnął od lubości,
bo ile ich było w karczmie tam
krasnych dziewczek, malowanych lic:
wszystkich serca wziął Janosik sam,
patrzył, płonął, o tłum nie dbał nic,
aż nareszcie, gdy mu byli blisko,
rzekł w to mrowie, jak na pośmiewisko:
Powitania przyjmcie czestne słowo,
Austriacy, a na bok ten gniew,
ja wam waszych nie uwiodę dziew,
ja se będę tańczył z cesarzową.

Oniemieli, potem w głośny śmiech,
aż zajękło na strychu od ech,

a Janosik kazał podać pióro,
skrobnał nożem, zaczernił miksturą.

Najjaśniejsza cesarzowa pani -
tak do Wiednia pisał nieobdalno -
tańczą tu dziś twoi poddani
i my tutaj zaśli drogą halną,
do twojego niemieckiego kraju,
spopod Fatry, Matry, ku Dunaju,
od tatrzańskich dolin staroleśnych
het do twoich dziedzin białowieśnych,
ja, Janosik, Ilczyk i Baczyński,
polski szlachcic, wnuczek starościński.
Ale nam tu bronią swoich dziewczek,
a zatańczyć mamy też ochotę,
proszę, pani, zawdziej przyodziewek,
kolce w uszy i trzewiki złote,
w złotych bulkach przyjedź do południa,
bo inaczej ja pójdę do Wiednia.

Taki popadł na Burg cały strach,
że aż stary zadygotał gmach,
bo Janosik posłał pismo swoje
przez Gajdosia na złote pokoje.

Zawołała cesarzowa pani:
Słudzy moi i moi poddani,
prince, grafy, burgrafy, barony,
wołajcie mi huzarów szwadrony,

zaprzęgajcie mi paradne koczce,
dworskie panie niech się w strój obleką,
niech się sama w strój świetny obłóczę,
bo Janosik tu stąd niedaleko!...

Rozbiegły się grafy i barony
wraz z lokajstwem na wsze cztery strony.

Zadudniało na dunajskim moście -
karczmarz mówi: jadą nowi goście!
Tłum pogląda i oczom nie wierzy:
cesarzowa w odświętnej odzieży,
cesarzowa, Maryja Teresa - - -

Gott im Himmel! Krajckrukskriks! Her Jessa!

Wypadł karczmarz i wypadli chłopci,
łby pogięli z kudłami z konopi,
na kolana popadali kołem,
a Janosik siedział poza stołem,
febra nimi od strachu potrząsa,
a Janosik gryzł czarnego węża.

Ozwała się cesarzowa pani:
Jak się macie, słudzy i poddani?
Czy w tej karczmie, Dei Filii Mater,
jest Janosik, przybyły od Tater?

Drżącym słowem landwójt się ozowie:
są tu jacyś okropni zbójowie,
najjaśniejsza pani cesarzowo,
a generał ich rzekł takie słowo,
za które go stryczek będzie niańczył:
że on z tobą, pani, będzie tańczył!...

Rzekła na to cesarzowa: głupi!
Zamknij, gębę, boć ją kat obłupi!
Chcesz ty Burg mój i moją stolicę
w pył obrócić i przemienić w nice?
A czy nie wiesz, ty, barania głowo,
co to wyzwać moc Janosikową?

A czy nie wiesz, ośle zatracony,
że on góry podnosi ramiony?
A czy nie wiesz, ty, kpie znad Dunaja,
że on ludzi rozbija jak jaja!?

Spuścił głowę landwójt ledwo żywy -
konie w koczku potrzęsały grzywy,
potrzęsały grzywy spod huzarów,
a łydkami dygotał huf parów;
austriackie wystraszone pany
harcopami podpierały ściany.

Wstał z za stołu Janosik w czerwieni,
bo miał serdak czerwieniutki nowy
i na portkach sztof karmazynowy,

i wystąpił poprzodku do sieni,
a poza nim towarzysze jego
zbrojni, strojni, a oczyma żegą.

I pokłonił się Janosik pięknie,
na kolano lewe on przyklęknie.

Nie klękam ja tu przed cesarzową,
ale składam dank za moje słowo
i nawet was pocałuję w rękę,
żeby moją okazać podziękę,
bobym iście, byście nie przybyli,
na wasz Wiedeń musiał iść tej chwili
i tak grzecznej, jako wyście, pani,
mury musiał pogruchotać w dani...

Na tak piękne jego zaproszenie
cesarzowa wstąpiła w podsienie.
A gdy puścił ją, wstawszy, przed sobą,
pańską w karczmę wstąpiła osobą.

Hej! Cyganie! - Janosik zawoła. -
Zagrajże mi ozwodną dokoła,
zagra j że mi na nutę, na żywą,
sto dukatów naści tu na piwo!

I rzucił mu, wydostawszy z pasa -
Janosika chce potaćzyć krasa,

Janosika chce potaćzyć siła,
co mur łomła i góry nosiła.

(Cyganowi psu dukatów isto
dał Janosik tam dwanaście i sto!)

I zdjął kołpak z głowy dziany złotem,
w dyjamenty kołpak naszywany,
złotem śmignął po ziemi, jak błotem,
brylantami rafnął ziem, jak piargiem -
hej! cesarko! proszę z sobą w tany,
niech się dziwią aż za Nowym Targiem!

I pokłonił się do stóp szeroko,
a muzykom rzucił jasne oko.
Ci wycięli smyczkami od ucha,
aż z strun iskier prysła zawierucha.

A od okien Surowiec z Ilczykiem
i z Gajdosiem gardłem wiodą dzikiem:

„Werbuje, werbuje cysarka Tereska,
już powerbowiała, kany jaka wieska!

Byli tu rajtary, pytali się o nas,
stryła im maciory, co im było do nas!

Werbujom, werbujom i na siłę bierom,
nasi horni hłopcy ka się popodziejom!

Howałaś mię, matko, jak pszeniczne zarno,
teraześ mię dała cysarecce darmo!

Cyli na miastecku, cyli na dziedzinie,
kie mię kulka trefi, to mię śmierć nie minie!

Nie umrem na ziemi, umrem na koniowi,
jak z konia polecem, sabla mi zazwoni!

Syćko popatrzujem ku temu Giewontu,
ni mogem utrzymać głowicki do frontu!...

Kiek na wojnę jehał, ociec na mnie wołał:
wróc się, synu, wróc się, bo ja cię odhował!

Synacku, przy wojsku nie zabacuj o tem,
żeś pasał krowicki u matki pod płotem!

Płakała dziewczyna trzy godziny do dnia,
ze jej kohanecka zabrali do ognia!..."

Tak śpiewali, taką pieśń,
ty, Cyganie, ognia skrześń!
Ognia skzesaj, iskry z strun,
sto tysięcy zapal łun!

Nie pytaj się: kto - ni: co?
Graj, bo płacą! Graj, bo tną!

Cesarzowa poszła w tan,
chwiał się jej perłowy wian.

Cesarzowa w taniec szła,
dyjamentów po niej mgła.

Cesarzowa w taniec idzie,
a barony stoją w glidzie.

Żółte łby i długie nosy,
stoją Niemcy jak w rząd kosy.

Stoją damy jak w rząd grabie
i wieśniacy, chłop przy babie.

Cudują się sami sobie,
czy na jawie są w tej dobie?

A Janosik, na kształt króla,
z cesarzową sobie hula.

Stanął przed nią, cupnął wprzód
prawą nogę, lśniący but.

Lewą piętą wyciął w tył
w dyle karczmy, co miał sił.

Prawa - lewa - krok za krok,
w tył się cofał, wparty w bok,
a z podkówek leciał blask
i z karczemnych dylów trzask.

Cesarzowa - suknia w dłoń -
jak z obrazu sunie doń.

Dudni karczma, trzask i puk,
sam Janosik grzmi stem nóg!

Gdy się zwyrtnie jako wiatr,
strojem szumi jak wiatr z Tatr.

Cesarzowa w perły dzwoni,
to ucieka, znowu goni.

A co przyjdzie ku muzyce,
to uśmiecha się jej lice.

A szeleści atłasami,
jak w jesieni wiatr liśćkami.

Gdy skończyli, usiadła na skrzynię -
obskoczyli ją grafy, grafinie.

A ona im powiada w te słowa:
„To mi tancerz, jakem cesarzowa!

Na Wielkanoc, dwie mile za Lincem,
tańcowałam z Lichtensztajnem princem.

Tańczył ze mną królewic francuski,
Kurfirst saski i gesantter pruski.

Feldmarszałek księżę Esterhazy
tańczył ze mną w Budzynie dwa razy.

Wszystko byli to wielcy tancerze,
ale wszystkich niech ich kaduk bierze!

Przy zbójckim tym halnym hetmanie
znam dopiero, co jest tańcowanie!”

Tak Janosik tam zatańczył, gdy go zdjęła chęć.
Grzmiała karczma od wiwatów na mil wkoło pięć.
Grzmiała jeszcze, gdy odchodził, gdy wracał do gór,
uderzyła jego sława o wiedeński mur,
hej, od Wiednia aż do Budy grzmiała jego sława,
powtarzała ją Orawa, Cisa, Sawa, Drawa,
Dunaj, Wisła i Dunajec, i głęboki Wag,
tak on tańczył, on, co zamki butem miał na prag,
tak on tańczył, on, co biednym z możliwych dawał łup
i słowackim stał dziedzinom jak słoneczny słup,
przed którym się Węgry gięły, aż go im wydała
własna rodna, hej! Słowianka urodnego ciała,
własna rodna Liptowianka - - zwiśł na szubienicy,
a po całej jęk słowackiej popłynął ziemicy.

Tak Janosik tańczył z cesarzową
niedaleko Wiednia i Dunaju.
Hej! Powiedzcie wy wichrową mową
stare Tatry, wy, grodzie do kraju,
hej, powiedzcie, jacy byli ptacy,
jakie orły i jacy junacy!

BYŁ CZAS

Był czas, żeśmy się rozumieli
ten czas przeminął i nie wróci,
a dziś mnie z wami wszystko dzieli,
nic wy mnie dziś nie obchodzie,
nic wasze nie obchodzi życie,
to jedno boli, żeście skuci,

Pieśń moja stała się dziś pieśnią
wyłącznie tylko moją własną;
nie dbam, czy gdzie się ucieleśni
tak czy inaczej w czyjem młodem
sercu te słowa, które w wodę
rzucił - - niech płyną lub zagasną.

Jesteśmy obcy. Macie wróżów,
macie serc waszych wykładowcy,
macie dusz waszych czujnych stróżów,
kapłanów waszych świętych chramów,
dzierżących szale prawd i kłamów,
poetów dążeń i rozpaczy.

Jam od wszystkiego uciekł tego,
życie, jak chcecie - - czym jesteście?
Macieź liść drzewa zielonego,
macieź woń kwiatu, szum potoku,
jesteścież jak wschód słońca oku,
jak modrzewiowych gęstw powieście?

Jesteścież jak legenda złota
kuta we wnętrzu skał ogromnych?
Albo jak zbroja, co grzechota,
albo miecz, co przy boku chrzęści,
albo stalowej łoskot pięści
pragnącej gwarów wiekopomnych?

Jam własnej tylko myśli mojej
poetą - - gdzie mnie wichur rzuci,
tam harfy mojej struny stroi,
szumi mnie tylko pieśń pojęta,
pieśń, której niczym świat nie pęta - -
to jedno boli, żeście skucia.

SERIA ÓSMA 1924

ŚLIMAK

Ślimak mi się powoli przed oczyma wlecze - -
jakże mi przypomina zwykłe życie człecze:
ciężko się sunie - macki wysuwa z ostrożną,
tu, tam próbuje - tu, tam raz po raz nie można;
trwożliwie, z trudem pcha się przed się, a na grzbiecie
dźwiga dom, co go ciężko i z uporem gniecie
i zowie się „schronieniem”, a nie jest ochroną
nawet przed marnym kretom, cóż dopiero wroną!
Idzie, wlecze się, cała natura nim gardzi,
sam nie wiem, czy tragiczny, czy komiczny bardziej?

HYMN WSPANIAŁOŚCI

Purpury, rozrzucone na złote szafiry,
kaskady dyjamentów ze skał szmaragdowych,
srebrzysto-białych pereł tańczące wiry,
rubiny, latające na kształt rac ogniowych;

drzewa, w których koronach gnieźdzą się obłoki,
góry, pół oceanu ścielące swym cieniem,
ametystu i tęczy płynące potoki
w jeziora, które całe są blasku kamieniem;

orły, co zasłaniają się skrzydeł słońce,
lwy, które rykiem piasków kurzawę podnoszą
i straszą nim płomienne na niebie miesiące,
zawieszane, jak zmory ognia, nad pustoszą;

rycerze tak ogromni, jak turm orszak zwiody,
ich czyny tak olbrzymie, jak ich tarcz koliska,
drwale, jednym zamachem ścinający jodły,
łunę na niebo śląc myśliwskie ogniska;

gniew, od którego mury pękają fortecy,
miłość, która ma słodycz wszystkich miodów świata,
natchnienie, które na kształt Atlasa, na plecy
bierze kołowrót świata i w bezmiar z nim wzlata;

twórczość, która wyrzuca ziemię z oceanu,
odwaga, która samą śmierć napęła trwogą,
zwycięstwo, które koła swojego rydwanu
z koron królów ma kute i pancerze drogą;

siła, smugę piorunu łamiąca na trzaskę,
męstwo, przy pływy morza piersią wstrzymujące,
mądrość, co Tajemnicy odsłoniła maskę,
jak w pieczarę podziemną wpadłe świetne słońce:

to jest ciche marzenie geniuszu poety - -
błądzi on z nim po ziemi, samotny szaleniec,
nudzi świat gorzkim słowem swej wargi: niestety!
i zdobywa po śmierci wymuszony wieniec.

NA MOCZARACH

Przeklęty szary życia dzień - -
jakby szedł człowiek przez moczary,
a za nim włókł się jego cień,
w zmroczy przednocnej, w pustce szarej...

W jedno się tylko zlewa myśl:
w uwagę, by nie chybić kroku,
nie runąć w otchłań, kędy lśni
złym blaskiem mętna woda w mroku.

W jedno się tylko zlewa myśl
i wszystko inne w mózgu płoszy -
być może: sto gwiazd błysłoby
z mózgu wśród wolnych tchnień rozkoszy...

Być może: sto gwiazd błysłoby
z mózgu, jak ognia złote żary,
gdybyś przez wąską, grząską perć
nie szedł pielgrzymem przez moczary.

Być może: sto gwiazd błysłoby
jako stalowe mocnych pręty
z rąk - - które drżące, chwiejne z bark
wagę chwytają nad odmęty...

Przeklęty szary życia dzień!
Wokoło pustka, zmrok, moczary

i wlecze się za sobą cień,
i widzi się - - to widmo mary...

On się pamięcią pnie do ócz:
czym jesteś, gdzieś jest, w jakiej drodze -
że cały duch zmęczony tkwi
w niepewnej, drżącej, chwiejnej nodze...

On ci wydłuża własny kształt
i pokazuje ci wyraźnie,
twój na moczarach chwiejny chód
i całą twego życia kaźnię.

Na próżno ważysz, czyli bieg
szalony mąk tych nie oszczędzi - -
nie idziesz nigdzie; to jest chód
przez moczaryska bez krawędzi....,

REFLEKSJE

Miałem kiedyś przyjaciół - może i nie miałem -
dzisiaj nie mam żadnego - już i nie dbam o to -
kilka myśli mej duszy stało mi się ciałem:
z nimi ja się przyjaźni zajmuję robotą.

Jedna myśl to pojęcie nieograniczonej,
wszechposiężnej wolności, wiecznej i niezłomnej,
która duszę człowieka, jak i morza człony,
spaja w jednej, harmonii świętej i ogromnej.

Druga myśl to pojęcie bohaterstwa, cnoty
najpiękniejszej z cnót wszystkich, aż dziecięco męskiej,
bo jej hełm wszystka młodość ducha kuje złoty
i stawia posąg biały w grocie czarnoksiężkiej.

Trzecia myśl to pojęcie geniuszu, władanie
wszechmocne, moc wszechwórcza i wszechrozumienie,
treść, w której wiekuiste zawarło się trwanie
i z której ogień bytu czerpie swe płomienie.

Czwarta myśl to pojęcie piękności natury
i jej umiłowanie i piękna pojęcie,
które miąsz modeluje i wiedzie kontury,
oznacza poryw, zamiar, obwód i napięcie.

Piąta myśl to pojęcie ciszy i przestrzeni,
i światła, w zwiąż jedności zespolonych razem,
które mi się być szczęściem zagrobowych cieni
wydają, a w śnie - bytu ich godnym obrazem.

Szósta myśl to pojęcie prawdy i bezwzględnej
sprawiedliwości w życiu, myśl niezmiernie trudna,
by duch w wydatkach nie stał się nazbyt oszczędny,
droga jego zbyt zimna i nazbyt odludna.

Siódma myśl to pojęcie rozumnej dobroci,
najtrudniejsza ze wszystkich i jedynie bogom
w całej pełni dosiężna - ona jednak złoci
skroń światłem najpiękniejszym, marmur ściele nogom.

To moi przyjaciele - wśród mego pokoju
oni mnie otaczają, oni ze mną mówią,
oni mnie pragną podnieść do swojego stroju,
oni chcą, abym słyszał to, co postanowią.

To moi przyjaciele - tych myśleń siedmioro,
krążą one jak ptaki około mej głowy - -
trosk moich i mych smutków w pierś swoją nie biorą
i wzrok mają królewski, dumny i surowy...

Z NOTATEK

Serce moje znużone przynoszę w tę stronę - -
łąki już od krokusów stoją ukwiecone,
kieliszki fioletu mienią się do słońca
cudownie - jakby trawa lśni fioletowa - -
gęstwa młodej choiny, drozdami dzwoniąca
tysiąca srebrnych dźwięczeń gęźbę w sobie chowa.

Zda się, w każdy kieliszek dźwięk ptaszęcy wpada
i każdy kwiat, głos ptaka pochwytyjąc w siebie,
kołysa go na listkach, w swym wnętrzu kolebie,
i z gór na równię spływa ta śpiewu kaskada,
że stopy ludzkie błędne w kwiatach, w śpiewie brodzą
i-nie wiedzieć, czy ptaki pośród gęstwin lasu
na pagórkach, czy kwiaty na łące zawodzą.

Lecz myśl moja ucieka od tego hałasu
cudownego, co, jakby rozsiane w przestrzeni

krople rosy ze skrzydeł aniołów jeziornych,
dzwoni tu w ludzkim słuchu i w oczach się mieni
pod obłokami nieba i w skrach przedwieczornych.

Myśl moja tam ucieka, gdzie jednym zamachem
trzy drzewa w jeden wykrot i jeden konarów
wał podłużny spiętrzone na równi moczarów
leżą, jeszcze wichrowym oszumiałe strachem,
jeszcze straszego wichru pełne w sobie wycia,
trzy drzewa, jak trzech ludzi potężnych bez życia.

Zda mi się, bohaterów widzę tu pobicie,
jakieś ptaki olbrzymie, pokryte w błękicie,
przybiegły i skrzydłami pobiły te smreki,
że runęły jak trupy... Lub jakiś daleki
meteor rozpędzony czy gwiazda szalona
zwaliała je złotego pomiotem ogona.

Tu się me oczy więżą, w tej martwej nawató:
konarów i gałęzi; tu me uszy toną
w głębię ciszy tej płatwy igłowej zieloną
i w tej się podłej mocy myśl topili i chwale.

Życie - - oto są ptaki, oto kwiaty wiosny - -
życie - - oto jest podmuch z południa miłosny - -
życie - - oto pulsuje już krew ziemi, woda,
wyzwolona spod lodu - - oto wstaje młoda,
wiekuiście odrodna jaśń, świt czasu jary -
ale mi więżą oczy zwalone konary,

owe, owe trzy drzewa, powalone społem - -
i pod tym jestem, który mnie począł, aniołem,
a wcale mi radości nie był widmem złotem,
lecz przez duch dziecka smutku przetoczył się grzmotem
i żałoby, co harfą nie będąc eolską,
pieśń z siebie urodziła, jak mgławicę polską
i smętnię polskich niw...